Cena 7 Zł.

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok III — Łódź, 20 stycznia 1946 r. — Nr. 2 (30)

JAN ALEKSANDER KRÓL

„One wiele dobrego zdziałały..."

(Wspomnienie o pisarstwie ludowym sprzed 40 laty)

Otrzymałem list od starego Jana Sobka z rzeszowskiego, przypomina w nim, że słuszną byłoby rzeczą wydać książkę obejmującą życiorysy, wybrane artykuły i wiersze pisarzy ludowych, których działalność szczególnego nasilenia nabrała w **pierwszym dziesiątku XX w.** Wymienia ich Sobek nie małą garść:

Byliby to — **Jan Babicz** — z Niedźwiedzic, pow. Ropczyce.

Franciszek Wójcik — z Wyciąż pod Krakowem.

Wojciech Potok — ze Zaborowic pod Grzybowem.

Maciej Czuła — z Grabia pod Brzeskiem.

Antoni Słona z „Ostrys" pod Makowem.

Piotr Wyrobek — z Osielca w Krakowskim.

Jan Sobek z pod Łańcuta.

Kachna Łęczynianka — z Łęcznej w Lubelskim.

Antoni Kucharczyk z Taszkówki,

Władysław Breowicz

i wielu, wielu innych.

Z książki tej — jak pisze Sobek — młode pokolenie chłopów **„mieć może wzór i początek przez nas im pozostawiony."**

Przypomnijmy sobie te lata, okraczające koniec wieku XIX i początek XX-tego. Mogą tu wchodzić w rachubę trzy ruchy. Jeden to — **chłopomański** ruch **kulturalny** idący od miasta (Tetmajer, dr. Chałubiński, Witkiewicz, Wyspiański, Rydel, Reymont) w gruncie rzeczy starający się utrwalić wieś"

> **„odziana w kwiaciaste zapaski**
> **pawie pióra, pstre opaski",**

jak szydzi Kubiniec. Drugi — **polityczny,** ludowy (ks. Stojałowski, Bojko jeszcze z sejmu galicyjskiego, Stapiński, Malinowski, Witos, Dąbski). Trzeci — **społeczny,** najwyraźniej sformułowany w **socjalistycznym** ruchu robotniczym.

W jakimże stosunku do tych ruchów pozostają wymienieni przez Sobka pisarze?

ONI „TEORII" NIE LEKCEWAŻYLI

Zdawałoby się, że najbliższy powinien być im albo ruch chłopomańsko - kulturalny, albo ludowo - polityczny. A tymczasem?...

Od politycznego oddzieliło ich to, co stanowi w ogóle o pisarstwie — **słowo pisane.** Powiada jeden z nich **„przekonaliśmy się, że więcej da się zrobić z czytającymi niż słuchającymi".** A działalność polityczna na wsi po dziś dzień jest jeszcze przede wszystkim — **wiecowa.** Wytwarza nastroje i na nich gra. Metody tu używane zmierzają do utrzymania **stałego napięcia** w masach. Stany emocjonalne wzmagane są do granic, w których równowaga i jasność umysłowa z konieczności muszą ulec zamąceniu. Tak po stronie tych, którzy nie mają racji jak i tych, którzy ją mają.

A **czytanie** dla naszych pisarzy oznaczało tyle, co spokojne, skupione **rozważanie** i w następstwie rzetelne uczenie się.

Nie znaczy to jednak, aby mieli być obojętni na przemiany polityczne. Wprost przeciwnie. Tylko rozstrzygające tu jest — na jakim piętrze odczytywali oni nurtujące prądy i na jakim się w nie zanurzali.

Otóż będąc w większości samoukami z zawziętością i dumą dopracowywali się punktu widzenia intelektualnie najwyższego. Ks. Stojałowskiego oceniali w jego założeniach, w kapitale umysłowym, dlatego nie uszło ich uwagi, że był to człowiek **uniwersalnej wiedzy** w dziedzinach religijnych, politycznych, społecznych i światowych, żaden z późniejszych działaczy ludowych, jemu nie dorównał". O Dąbskim potrafili powiedzieć: **„teoretyk pierwszorzędny",** z wszystkich rodzajów działalności pisarskiej Malinowskiego najwyżej cenili w nim **„ekonomistę".** Załóżmy nawet, że się mylili. Ważne jest to, że zwracając w „polityce" (i to ówczesnego ruchu ludowego) uwagę na „teorię", „ekonomię" i sprawdzalność objektywną haseł nazwani muszą być nie działaczami politycznymi a **społeczno-kulturowymi.** Antoniego Stopę chrzczą tytułem „filozofa". On o Wyrobku mówi, że ma „talent historyczny", co nie odbiega zbytnio od prawdy, kiedy się wejrzy choćby w drukowane we „Wsi" filologiczne rozważania Wyrobka o słowie „Chłop" lub o dialektach. Oglądamy tu odblask erudycji i historyzmu, tak właściwych tamtym czasom. Dopiero tak bogato uzbrojeni i tęgo zorientowani wchodzili w szranki bezpośrednich polemik politycznych. Pisze Sobek o Stopie, że ten „walczył silnymi argumentami ze Stapińskim, Dąbskim, Bojką, Średniawskim za ich politykę skierowaną w stronę prawicy narodowej, tj. kapitalizmu i klerykalizmu."

W WALCE Z „PAWIEMI PIÓRAMI"

Byli więc pisarzami świadomymi swych zadań kulturalnych. I to tak dalece, że dziś jeszcze ci, z nich, którzy pozostali przy życiu, wypominają i chłopom i narodowi zapomnienie i zlekceważenie pisarzy, krzywdzące ich w porównaniu z dbałością z jaką tworzy się legendy wokół polityków. I Bojko był „posłem", ale dlatego chyba, **że pisarz,** umarł w takiej ciszy „żeśmy nawet nie wiedzieli kiedy". Podobnie stało się z 40-lat piastującym wójtostwo w Dzikowie Słomką, podobnie z Wójcikiem, Stopą i Jantkiem z Bugaja.

Dlaczego tedy w te najdonioślejsze dla ich działalności lata nie powiązali się skolei z odmiastowym chłopomańskim ruchem?

Powody są jasne. Ruch ten zachwycał się dawną, **prymitywną** wsią. Kierowała nim żądza estetycznych przygód. Jak u Kasprowicza, jak u Micińskiego a nawet Wyspiańskiego przewędrowywał w chorobliwej gonitwie za artystyczną sensacją wszystkie czasy, kraje i kultury. Wieś była dla niego odkryciem jednej z takich arkadyjskich krain.

Warto tu przypomnieć nawarstwianie się tej legendy o wsi, która wreszcie przez ów chłopomański ruch z końca XIX wieku sama w legendę — na swoje nieszczęście — uwierzyła. Oto już w 1842 r. w jednej z przedmów do pieśni ludowych wielkopolskich znalazła się taka skarga szlacheckiego zbieracza: **„lud pospolity wszystkie znamiona swoje zaczyna tracić; popchnęły go do tego stosunki ziemiańskie, a mianowicie usamowolnienie włościan".** A Kolberg w r. 1870 żałuje, że chłopi wyrwani zostali z **„dotychczasowego żywota skupionego pod zamkiem lub dworkiem, jakoby pisklęta spod skrzydeł wspólnej macierzy".**

Uwolnienie od pańszczyzny przebudowało oczywiście wieś. Kolberg w tym skutku widział tylko jedno, że **„nadał on całemu obrazowi cechy osady pogodnej wprawdzie schludnej i zabiegłej, ale zarazem prozaicznej, pospolitej i wielce oko jednostajnością swą nużącej".**

Następnych 30 lat przyniosło dalsze zmiany na wsi, znów pełne strat dla estetów, traktujących wieś, jak bezpłatny do wypatrzenia teatr. Dla nich nie to było ważne, że pomiędzy 1880 — a 1900 rokiem, jak wykazały badania poborowych, przeciętna wzrostu chłopa podniosła się o 1 cm, na skutek polepszenia się jego sytuacji gospodarczej po wyzwoleniu z pańszczyzny, dla nich ważnym było **„tragiczne"** zanikanie **dzikiego** krajobrazu i tych tam... **bajecznie kolorowych.**

Marzenia estetów stały się perfidne. Aby zatrzymać a nawet wrócić sielskość jaką by dał obraz tych chamów pod zamkiem, poszli nawet na hasła w rodzaju: „chłop potęgą jest i basta" byle tylko zechciał on wejść spowrotem w parzenice i pod strzechę, a w skutkach — skrócił się spowrotem, ale czy tylko o... centymetr?

Otóż nasi pisarzę na te banialuki nabrać się nie dali. Kiedy estetyzujące miasto chciało ich zamknąć w „zaczarowanym kole" dawności, oni właśnie wyrywali się do miasta nie po to, żeby tam pozostać, ale żeby „ze świata" na wieś przynieść środki i narzędzia poprawy jej bytu.

Oni głosili hasło: **„zrównania wsi z miastem". „A co w miastach widzimy? elektrykę, telefony, wodociągi, łazienki, urządzenia różne i ulepszenia".**

ŚWIATOWI CHŁOPI

Kto szermuje pojęciem **„kultura ludowa"** warto, aby zdał sobie sprawę z tego, czy używa jej w znaczeniu **kultury, którą lud wytwarza,** czy też **kultury, którą on już wytworzył,** a teraz ją w głównej mierze tylko konserwuje.

Bo przy drugim znaczeniu obowiązują go następujące konsekwencje: **brak odczuwania nowych potrzeb — trwanie w wyłączeniu się z innych grup społecznych i niski stopień indywidualizacji.** Otóż chociażby pojawienie się działaczy politycznych, którzy występują w imieniu ludu w ramach większej grupy społecznej, którzy żądają oświaty dla chłopa i władzy w państwie — już to narusza definicje „kultury ludowej" w znaczeniu: **kultury zamkniętej i niezmiennej.**

Nasi pisarze wyraźnie zdali sobie sprawę z tego pomieszania i dlatego z dwóch zjawisk: pochodów w pawich piórach i emigracji za ocean — uznali, że znamienną dla ich czasów była **emigracja.**

Na tle tej fali emigracyjnej, która łączyła pozostałych z tymi, co odjechali, która wracała z powrotem wzbogaconych chłopów i posiadających już wyższą kulturę pracy (przedsiębiorczość, umiejętność zakładania nowych warsztatów) — na tle tej właśnie dopiero fali tłumaczył się dla nich sam w ogóle **sens rozniecenia** Ruchu Ludowego. Bo wieś tradycyjna, wieś w „kraszankach" nie potrzebowałaby Ruchu, jak go i dotąd nie miała.

Kiedy mój ojciec ze „skół" w góry wróciwszy, którychś tam wakacji, komin w kuchni zamiast paleniska wstawił, a w komorze okno wielkie, dziadek orzekł, że „nie ma ta do niego poco chodzić, bo to pokoje". I umarł mój dziadek dla „nijakiego ruchu" nieprzystępny.

Bo Ruch — to właśnie — wchodzenie w styczności z innymi środowiskami, to wytwarzanie w sobie nowych potrzeb, to bogacenie się w bardziej sprawne umiejętności i narzędzia.

I dlatego dziś w nas patrzących z perspektywy 40 lat na omawianych pisarzy, wzbiera zdumienie i podziw. To oni właśnie byli w pierwszym rzędzie konsekwentnymi Ruchu działaczami. Oglądamy ich w kontaktach z miastem, Europą, ba — z Ameryką. Kucharczyk, Kachna Łęczynianka, Breowicz, Wójcik, Stopa drukują na drugiej nawet półkuli. Europę schodził M. Czuła, w Ameryce był Wójcik, tam wyemigrował na stałe Breowicz.

Miasto nie budzi w nich ani przerażenia, ani nienawiści. Nie uważali oni jak prof. Bujak, że **„urbanizacja oznacza zgrzybiałość społeczeństwa i że nierozsądnym jest, będąc biednym młodzieńcem pragnąć jak najprędzej stać się bogatym starcem".** Stopa mówił ina-

Dalszy ciąg na str. 2-ej.

ANTONI STOPA

Rok 1896

I wy myślicie, że do końca świata
Tak będzie człowiek pożerał człowieka?
Że tak będziecie szczuć brata na brata,
Że będzie zwierzem od wieka do wieka?
Że będzie ostrzył na drugich pazury?
Dołem głód będzie — a wyzysk u góry?

I wy myślicie, że już tak na wieki
Wy najpiękniejsze kwiaty macie zrywać?
Drugich uciskać, by potem kaleki
Rzucać do błota, deptać i wyśmiewać?
I wy myślicie, że wiecznie niedola
Zalegać będzie i miasta i pola?

I wy myślicie, że człowiek nie Bogu,
Ani swej pracy ma zawdzięczać życie?
I kiedy dla was zdycha na barłogu,
Chlebodawcami jego się mienicie,
I ubliżacie najwyższej powadze,
Bająć, że Pan Bóg na was przelał władzę?

I wy myślicie, że milionowych
Rzesz ludzi pracy wy będziecie panem,
Panem ich życia lub śmierci głodowej?
Że macie rządzić każdym innym stanem?
Że umiejętność, poezja, sztuka,
Dziś ma wam służyć, tak jak wierna suka?

O, panie bracie! trudno upolować
Orła na Tatrach, ale stokroć trudniej
Geniusz ludów pod szlafmycę schować!
Czy wyście ślepi, czy wyście obłudni?
— Stawcież na poprzecz Wisły mocne wały
To wam zaleje z pewnością kraj cały!

„Prawo Ludu", rocznik 1896, str. 33.

KACHNA ŁĘCZYNIANKA - LESIOWSKA

Z cyklu „Kamienne wiersze"

Kachna Łęczynianka Lesiowska poetka i pisarka ludowa, ur. 1888 r. w Łecznej koło Lublina, jako córka małorolnego chłopa. Wykształciła się po równi na pieśniach ludowych jak na broszurach socjalistycznych, biorąc udział w konspiracyjnym naówczas ruchu robotniczym. Debiutuje około 1910 r. Już w pierwszych próbach poetyckich daje wyraz uczuciom buntu wobec wszelkiej przemocy. Zasila swymi utworami wiele pism ludowych, między innymi „Przyjaciela Ludu", krakowską „Rolę", „Strzechę Rodzinną", „Głos Wsi", „Pracę Obywatelską", „Wieś i jej pieśń", „Spólnotę", „Zew", przyczyliska „Polską Prawdę", amerykańskie „Echo";

W odrodzonej Polsce wiąże się Kachna Łęczynianka z gronem pisarzy, tworzących Towarzystwo Pisarzy Ludowych, do którego należą: Wł. Kołodziej, Wł. Bocheński, Ferdynand Kuraś, Jantek z Bugaja, W. Breowicz, Al. Kuśnicki, Fr. Trepiński, M. Luty, D. Lesiowski i wielu innych. W r. 1925 wileński „Lirnik" wydał jej tomik wierszy. Jej wiersze (cykl: „Kamienne wiersze") i nowele (jak np. „Żebraczka", „Cholka", „Balonki", „Katastrofa", „Grzech", „Kłamstwo" i in.) przedstawiają nędzę klas i ludzi upośledzonych, a przede wszystkim chłopów i robotników, upominają i nawołują do walki ze złem i krzywdą społeczną. A jednocześnie ta chłopka - ludowiec, chłopka - socjalistka nie traci nigdy z oczu trzeciej sprawy — Polski-narodu. W latach okupacji ta struna jej poezji brzmi najsilniej i najczyściej. Mimo, że sterana wiekiem i pracą, (50 przeszło lat) zakłada już w listopadzie 1939 w Starachowicach konspiracyjne pismo „Pobudkę". Umiera w 1943 r., 25 czerwca na gruźlicę, na parę dni przed... usiłowaniem aresztowaniem jej przez gestapo.

Zet.

Fabryka

Zbudziła się ze snu fabryka,
Najpierwsze zagrały syreny —
Przez ciszę krzyk ostry przenika:
Idziemy! Idziemy! Idziemy!!!
Z baraków, z zaułków, z kamienic
Wybiegli już wszyscy gromadnie...
Ich oczy nie mają tajemnic,
Tak patrzą zuchwale i ładnie...
W oddali w słonecznym błękicie
Widnieją już czarne kominy,
Czuwają jak stróże o świcie —
Za chwilę grać będą maszyny.
Przez bramy tłum szybko przebiega
Z okrzykiem, z tupotem i śmiechem —
Hej prędzej, już siódma dobiega!
Stukają minuty pośpiechem.
Zagrały syreny dwa razy,
Zaczyna się wszystko jak codzień —
Fabryka już ogniem się żarzy
I dźwięczy młot ciężkich godzin.

Żniwiarze

Pochyleni od rana, ukryci w zboża złocie,
Niby żórawie suniemy przed siebie,
Z ciał naszych rozgrzanych płyną krople potu
I jak ziarna pszeniczne sieją się po glebie.

W fali zbóż szumiących topimy swe dłonie,
A w oczach niby pożar czerwień się płomieni,
Zginamy ciężkie kłosy — w błysk sierpów wpatrzeni,
Sami zgięci, suniemy w przyziemnym pokłonie.

I raz wraz kłosy przed nami padają...
I chlast, chlast! — garść po garści żniemy,
Za nami tylko ściernie ostre pozostają,
Na których nogi bose do krwi pokłujemy.

Słoneczne minuty biją mocno w skronie,
Tarcza złotego zegara stanęła nad nami.
Południowa godzina wyciągnęła dłonie
I objęła nasz cień, idący przed nami.

Stanęliśmy zmęczeni w rozpalonym słońcu,
A z nami przystanął i nasz cień zmęczony...
A daleko przed nami złocą się zagony,
Przez które przejść musimy w pokłonie do końca.

Polsko

Smutna jesteś Polsko, jak ten krzyż graniczny,
Co na rozstajnych drogach wyciąga ramiona—
Rozpięto Cię znowu na drzewie tragicznym
I uwieńczono cierniową koroną...

Chorągwie wolności nie szumią nad Tobą,
Stoisz, jak anioł smutku, okryta żałobą
Pogrążona w niewoli, jak w bezgwiezdnej nocy —
Oddana własnej zdradzie — i obcej przemocy.

„Zwarta, silna, gotowa" — czekałaś wierząca
Aż nastąpił nad Tobą nagły zachód słońca...
Wypełzła zdrada i zawiodło męstwo —
I na karcie historii przegrano zwycięstwo,
Słowo wolność skreślono z dziejów swojej księgi,
Lecz Ty Polsko dotrzymasz wiekowej przysięgi...
Bo czas, który wyrokiem na śmierć skazał Ciebie,
Rozkazał Ci żyć... choć stoisz na własnym pogrzebie.

Hitlerowska zbrodnia

Świat podpaliła hitlerowska zbrodnia —
Dymią słupy graniczne,
Europa pełna ognia!
Skarży się polska ziemia
Smutkiem świeżych grobów
I gniewem i zemstą Narodu!
Żywi i umarli piszą wyrok zgodnie
Przekleństwem modlą się
Ruiny kościołów —
I trupy męczenników rzucone do dołów...
Przekleństwem modlą się nocą umarli —
I modlą się żywi co dnia,
Aż pomszczona zostanie
Hitlerowska zbrodnia...
Aż Berlin zamieni się w cmentarz,
A Niemcy w słup ognia.

Starachowice 1939 r. listopad.
Z prac okresu prasy podziemnej.

„One wiele dobrego zdziałały"...

Dokończenie ze str. 1-szej.

czej: **„Ameryka to kraj samouków i pani świata"!!!** Pogarda ziemiaństwa dla reszty społeczeństwa tłumaczy się historią panowania tej klasy, ale czemby się tłumaczyła pogarda chłopów dla miasta? Jakąż wyższością, którą trzeba w historii, a nie poza historią okazać? Nasi pisarze byli i dla tego jeszcze konsekwentnymi działaczami Ruchu, że walczyli o równouprawnienie chłopów, że chcieli uznania godności warstwy chłopskiej — ale nie sponiewierania godności innych środowisk, a już najmniej — miasta.

Jeszcze to wielkie pytanie, kto tu był lepszym chłopem, czy prof. Bujak, który przestrzegając przed „bogactwem zgrzybiałości" głosił powrót do czystej wsi w jakiej **„rolnictwo i przemysł domowy stanowią kulturę materialną a religia, pieśń, legenda i zwyczaj odgrywają główną rolę w kulturze duchowej"** — czy też ci pisarze, mniejszej od niego w piórze gęstości, ale działający tak, że od artykulików Wyrobka, Stopy, Sobka i Czuły mnożyły się kasy Stefczyka, możliwość wielkiego w przyszłości ruchu kredytowego i handlowego wsi, ale piszący tak, że po artykule Sobka **„Sprawa kobiet"** (w kalendarzu „Przyjaciela ludu" z r. 1909) Bronisław Dulęba zabiera się z zakonnicami, Służebniczkami ze Starej Wsi do zainicjowania **Kursów dla kobiet.**

Z POSTĘPOWYM MIESZCZAŃSTWEM — Z REWOLUCYJNYM ROBOTNIKIEM

Do miast wchodzą ci pisarze jakby byli żywcem wyjętymi z anegdot **„chłopkami — roztropkami".** Jest taka anegdota. Dziedzic bawi się chłopem i każe mu podzielić pięć pieczonych kaczek między biesiadujących. Chłop dzieli. Pan i pani i jedna kaczka to — troje, dwaj panicze i kaczka — troje, dwie panienki i kaczka — troje, a ja i dwie kaczki — także samo troje. Co zrobi z kaczkami? poniesie do chałupy.

Tak było z naszymi pisarzami — przemyśliwali nad tym, coby dało się z miasta zabrać na wieś, do chałupy, żeby było lepiej. I nie raz im się to udaje. Nie gadają bowiem z estetami, którzy prócz zachwytu nad niknącą wsią nicby im więcej nie dali. Gadają z solidnymi, postępowymi mieszczanami, z takim aptekarzem Szczepańskim, którego naciągają na Kuratorstwo Fundacji „Domu Ludowego" w Krakowie, z takim Średniawskim, fabrykantem kapeluszy, który ofiarowuje pod Myślenicami kilkadziesiąt mórg ziemi na ludowy cel.

Toż to są **historyczne układy.** Toczą się te rokowania w atmosferze wzajemnego zrozumienia i godności. Sobek pisze **„Listy włościanina do mieszczanina"** i ofiarowuje je Szczepańskiemu, ten stuka w niklową kasę apteki i zabiera się do ich wydania. A obok na drugiej ulicy Wyspiański notuje w „Weselu" modną opinię kulturalnego światka „byle".

„niech na całym świecie wojna,
byle polska wieś zaciszna,
byle polska wieś spokojna".

I ta się utrwaliła, jako oficjalnie obowiązująca. Jakże tedy mamy tych dziejów prawdziwie chłopskich i postępowych nie odsłonić? Co za niesłychane dźwignięcie się umysłowe w jednym pokoleniu. Ile rozbudzonej energii życiowej? Czuła, który zwędrował Czechy, Niemcy, Rumunię, pisze o sobie „z wielkiego nędzarza potrafiłem wydrapać się na dość poważne stanowisko", Kucharczyk redaktoruje, Breowicz dorabia się wielkiego zakładu krawieckiego w Ameryce, Sobka nowa Polska powołuje na stanowisko starosty, Stopa maluje wiele kościołów, świadomie prawie za darmo, bo go chłopi wbrew księżom powołują i jeszcze dlatego, że... z Waryńskim Ludwikiem, twórcą ruchu socjalistycznego w Polsce, współpracował. Dopiero w tym obrazie widzi się, że chłopi to nie mierzwa narodu, ale potencjał, w który wolno wierzyć, aby się jeno rozbudził!

Kiedy przyglądamy się tym naszym pisarzom zbiera podziw dla **ich zmysłu współczesności.** Prawda, działały na nich bodźce rozmaite. Rzecz w tym, że potrafili wybierać nieomylnie, wiążąc się nieraz z czymś, co ledwie się zaczynało. Tak było z ruchem socjalistycznym. Najpierw Stopa mimo, że ścigany przez „koguty austryjackie" jeszcze w wiele lat potem nie raz dawał swe artykuły do podcyfrowania Ignacemu Daszyńskiemu. A Kachna Łęczynianka, która całe swe wykształcenie zawdzięcza pieśniom ludowym i broszurkom socjalistycznym? Nie był im obcy robotnik. Właśnie wychodził dopiero ze wsi. Żywość kontaktu zachowała miłość, zachowała poczucie jednakiej doli, wspólnej walki i pomocy.

I u Kachny Łęczynianki zestrajają się te dwie konwencje literackie — **robociarska i ludowa. „Hej, ziemio ty moja rodzona" — „skiby czarne znojnym zroszone potem",** — to wieś ukochana sercem Konopnickiej, tym samym, które biło miłością i dla „naszej szkapy" z Powiśla i dla „dymu" wijącego się nad synem w fabryce. Dlatego u Kachny gra i ta druga struna z entuzjazmem z wiarą w ważność dzieła robotnika. Na dzieło jego rąk, na cuda cywilizacji Kachna wygląda w imieniu wsi, więc pisze **„Za chwile grać będą maszyny"... „Hej prędzej już siódma dobiega"!** Aż jej się wszystko wreszcie łączy w jedną **narodowa** całość:

„Ty od pługa, młota, od czarnej maszyny...
Ty milczący, pokorny i Ty zbuntowany —
Niech ręce się połączą w stalowe ogniwa
które już żadna siła nie pozrywa.
A serca niechaj wysoka idea zjednoczy
która tęczą stubarwną opasze kołem
I nad życiem wypisze jedno hasło „Społem"!

*

Omawianym tu przez nas pisarzom wypadło działać równo z trzecią falą stylizowania wsi na folklor i dawność. Pierwszą był okres romantycznego kultu ludowości, drugą — kolbergowskiego zbierania pamiąteczek, trzecią— „młodopolskiego" albośmy to jacy tacy. W wolnej Polsce przesłoniła ich znów fala mistycyzmu słowiańskiego Niećki. Ale czas, żeby **trzeźwych** pisarzy — **pozytywistów** przypomnieć wsi dziś, kiedy ona ma dla narodu przestać być tylko pełną możliwości, odkładaną dotąd i przez siebie samą — **rezerwą.**

A właśnie dla tych naszych dziadków największymi wrogami byli ci, „którzy nic nie robią, bo **wolą spokój i ciszę domową,** stroniąc od wszystkiego co zmierza do postępu, do ulepszenia **z daleka".**

Panie Józefie, doktorze Spytkowski, Pan wie najlepiej co o pisaninach naszych dziadów mówiono „w onczas", przed wielu laty:

„one wiele dobrego zrobiły"...

czeka Pana nowa Antologia, myślę, że bardzo warta zachodu, bo podobnie, jak pamiętnik Szarka, mówić będzie o tym co chłop potrafi zrobić, czego to on nie osiągnie!

Jan Aleksander Król

„Masław" Zawieyskiego

między legendą a rzeczywistością

Ostatnie przedstawienie „Masława" Zawieyskiego w Starym Teatrze w Krakowie przenosi nas w dość odległe dzieje – początków państwa polskiego, do wieku XI. Jesteśmy świadkami ścierania się różnych prądów ideowych i dążeń społeczno - politycznych. To okres, gdy po śmierci Mieszka II w Polsce wybucha reakcja pogańska, która nie była jedynie chęcią nawrócenia do dawnych bogów, ale przede wszystkim gestem samoobrony przed przedstawicielami wpływów bliskiego zachodu tj. cesarstwa niemieckiego. Cesarz niemiecki napierał wszelkimi sposobami, by rozszerzyć swe panowanie na wschód od Odry. Marchie pograniczne stanowiły bastiony przyszłych krzyżaków i... hitlerowców.

Autor ukazuje rebelię księcia Mazowieckiego, Masława, stojącego na czele oddziałów kmieci, walczących w imię pogańskiego Łady nie tyle o dawne „stare" formy kultu, ile o zagrożone prawa do współudziału w rządach. Mogą się komuś niektóre jego wypowiedzi wydawać dziwnie współczesne i jakby wyjęte z aktualnych haseł. Zapewne mało mamy źródeł historycznych z tej epoki i łatwo o dowolności w ujmowaniu zagadnień. Ale nie zapominajmy, że wówczas jeszcze Polska nie była synonimem Rzeczpospolitej szlacheckiej, która osiągnęła swoje apogeum w XVI w., a nawet w tym wieku, jak stwierdzają badacze, chłop używał więcej omasty do jadła niż w nowszych czasach. Polska nie miała tradycji długoletnich feudalnych i pojęcie kastowości było jej obce.

Mógł więc Masław przeciwstawić się zamiarom wielmożów, usiłujących umacniać swe wpływy bez oglądania się na stan kmiecy. Nie przeciw spadkobiercy korony Chrobrego Kazimierzowi walczą woje Masława. Autor ukazuje tu kilka starć: najpierw Mieszka I z wielmożami, Kazimierza z cesarzem, Masława z Kazimierzem, wreszcie władzy świeckiej z przedstawicielami kościoła. Kazimierz nie chce być marionetką w rękach cesarza, ale z Masławem nie dojdzie do porozumienia, mimo obustronnych dobrych chęci. Masław zginie w bitwie, jak przystało na... niezłomnego księcia. Ale jego idea: silnej zespolonej Słowiańszczyzny, odpornej na zakusy germańskiego imperium i państw opartego na sile, zawartej w ludzie – żyć będzie i odradzać się w dobie przełomów aż stanie się rzeczywistością.

Taki jest końcowy akord sztuki. ... z tego omówienia widzimy, jak obfity ładunek myślowy zamknął autor w „Masławie". Zwłaszcza w początkowych odsłonach czujemy przerost historiozoficznych dociekań. Później wydarzenia stanowiące kanwę dzieła przychodzą żywiej do głosu, jakkolwiek np. autor zajęty wielkimi liniami ideowymi, pozostawia na boku sprawę Olany... Tu i ówdzie nasuwają się pewne reminiscencje literackie. Jeśli wspominam o tym, to nie po to, by oburzać się na wpływy, lecz by ukazać wysoki gatunek ambicyj autorskich. A więc choroba Mieszka II i jego prowokacyjne zachowanie się wobec wielmożów przypomina podobną scenę w „Kaliguli" Rostworowskiego. A przybycie Masława do zamku Kazimierza i ich rozprawa, czyż to nie aluzja do pojedynku Pankracego z hrabią Henrykiem w „Nieboskiej komedii"

Tę wieloosobową sztukę zrealizował Janusz Warnecki, mając do pomocy nie byle kogo, bo Andrzeja Pronaszkę, jako dekoratora i Romana Palestra, który opracował wstawki muzyczne, no i zespół Starego Teatru, znane i mniej znane nazwiska aktorskie. Widowisko miało zatym stempel wydarzenia artystycznego.

I było wydarzeniem na miarę nieprzeciętną. Współpraca Pronaszki wniosła rozmach i niezaprzeczoną siłę wizjonerską, zarówno w dekoracjach, jak i w kostiumach. Pronaszko upodobał sobie w stłoczonych bryłach, dających wrażenie ciasnoty. Dopiero w końcowej odsłonie (z majaczącym w głębi ogromnym profilem chłopa) pozwolił sobie na „szeroki oddech".

Antoni Stopa

(patrz wiersz „Rok 1896" na str. 1-ej)

Antoni Stopa (1850—1924), malarz, pisarz chłopski i poeta, pochodził z małorolnej rodziny góralskiej, osiadłej pod Makowem Podhalańskim. Zapowiadającemu duży talent malarski, uczniowi Matejki, przeszkodziła w kontynuowaniu studiów śmierć ks. Stopy, wuja pisarza, jedynego protektora. Przywiązany do końca życia do mizernego gospodarstwa swojej siostry oddaje się naprzemian pracy pisarskiej, bądź malarskiej. A malował dużo i przeważnie na zamówienia chłopów. Odmalował przeszło 30 kościołów, malował także obrazy treści religijnej, różne pejzaże, kraj obrazy i portrety. Znany jest chłopom — i pamiętamy bardzo obraz Stopy, przedstawiający Polskę w postaci niewiasty, wręczającej sztandar narodowy chłopu. Z przekonań politycznych był zawsze postępowym ludowcem. Drukował wiele, przeważnie pod różnymi pseudonimami, często przeciwstawiając się ostro ugodowym poglądom pism, które użyczały mu gościny pisarskiej. Prace jego, artykuły, listy, wiersze znaleźć można we wszystkich pismach ludowych: „Włościaninie", „Przyjacielu Ludu" „Gazecie ludowej", „Obronie ludu", „Piaście", nadto „Kurierze Lwowskim", „Krytyce" i innych.

Obok motywu ukochania narodu, występuje u Stopy motyw walki z tym wszystkim, co jest nacechowane ustępliwością wobec kapitalizmu i klerykalizmu. Do końca życia pozostał wierny ideałom demokracji, dla której służbę rozpoczął jeszcze w młodzieńczym wieku, biorąc żywy udział w pracach konspiracyjno-socjalistycznych. Ludwika Waryńskiego. Antoni Stopa — jest nie tylko twórcą: malarzem i poeta — jest także wzorem działacza chłopskiego, czystego, jak kryształ, którego nie złamały ani prześladowania rządów austriackich, ani klęski osobiste.

Przytoczony na str. 1-ej wiersz Stopy, wydrukowany po raz pierwszy w „Prawdzie ludu" w 1896 r. był podpisany pseudonimem „Antoni Sygoń, chłop spod Babiej Góry".

Piotr Wyrobek

Dyskusja o gwarze

Dwie odpowiedzi J. Poganowi

Po krytyckich wypowiedziach K. Budzyka i Artura Sandauera, którzy w naszej dyskusji reprezentowali naukowy punkt widzenia, zabierają głos znowu pisarze. Tym razem przedmiotem generalnego ataku stał się Pogan, którego głos dyskusyjny drukowaliśmy w N-rze 19 „Wsi". Zaczepiony przez Pogana autor „Podkrakowskich namówin", Stanisław Jucha i literat Zdz. Jerzy Kempf, rozprawiają się z artykułem Pogana „Gwara to nie chińszczyzna".

Gwara—to kwestia słuchu

Jeżeli krytycy nie są zgodni co do autora, oznacza to, że autor jest w zgodzie z sobą...

Józef Pogan rozpoczynając w nr 19 „Wsi" dyskusję o gwarze, poświęca swoje rozważania mojemu fragmentowi „Podkrakowskich Namówin" zamieszczonemu w 15 nr tejże „Wsi".

Dyskusja ta ma raczej charakter napaści połączonej z conajmniej niewłaściwym dowcipem na temat mojej pisowni gwarowej a nawet nazwiska... Dowcipy te pomijam milczeniem, jako nienadające się do poważnej rozmowy i stojące poniżej poziomu dyskusji bądź co bądź ważnej i poważnej — a przechodzę do właściwej rzeczy.

Pisanie gwarą napotyka na poważne trudności naskutek tego, że nie ma tu żadnych prawideł, wskazań i reguł. Pisarz musi się kierować jedynie wrażeniami słuchowymi i na oddanie ich musi sobie obmyślać odpowiedniki w pisaniu. Oczywiście, każdy inaczej może słyszeć, a zwłaszcza może się starać innymi znakami pisarskimi te dźwięki oddawać.

Jeżeli chodzi o poszczególne zarzuty, jakie mi robi Pogan, to przyznam, że najbardziej mnie zastanowiło skrytykowanie formy „dobrańce", „un", „chłopoki", „pudę", „łocy", „jageś", „jedym", „zemnąneś" — (zniekształcenie słowa przez zecera, w rękopisie było zemnąmeś") oraz „Poniezuś". Wypadki użycia ę lub ą przed u może rzeczywiście wyraziściej byłoby oddać inną pisownią, natomiast wyrażenia jak to Pogan nazywa „zryczałtowane" „Poniezus" są nie tylko czystą gwarą, ale nawet w bardzo wielu wypadkach usankcjonowane (Tetmajer, Kasprowicz i Zegadłowicz w swych balladach o Powsinogach Beskidzkich jakże często używają tych zryczałtowanych wyrażeń „Poniezus", „Ponbóg", „Jezumiłypanie"), o których jakżeż śmie się przyznać mnie atakując, że nie tylko w piśmie (sic!), ale i w mowie nie zaobserwował wyrażenia „Poniezus" — kiepski to obserwator, krytyk i literat, skoro swej rodzinnej polskiej literatury nie zna!...

Także wyrazy, jak „chopoki", „pudę", itd. tak właśnie brzmią w mowie ludowej i w podobny sposób używa gwary Pogan pisząc np. (patrz fragment powieści „Biedny i Bogaty" „Wieś" nr 20), „w łóżkak", „wstajojcie" „bedymy", „płacieli" „pinędzy" „godom" itd. — są to te same chwyty, choć na innych użyte słowach.

Czy są trafne czy nie, możnaby się spierać o każde słowo i spierać się mogą pisarze póki nie powstanie czy gramatyka czy słownik gwary. Czy taki słownik jest wogóle możliwy do ustalenia — wątpię...

Zadużo jest różnic wymowy już nie od prowincji do prowincji, ale od wsi do wsi...

Czyż zresztą chodzi tu o poszczególną samogłoskę lub spółgłoskę, czy też o cały charakter wymowy innej niż wymowa inteligencka?

I na zakończenie tych paru słów odpowiedzi Poganowi, powtarzam jeszcze: — tutaj gra rolę kwestia słuchu. Przykro mi, że widocznie mam inny słuch niż Pogan.

Ale, dopóki gwara nie skostnieje w martwych karbach gramatyki — niech wolno będzie każdemu pisać jak słyszy i wyczuwa, a nie wysłuchiwać nie uwag, ale impertynencji i napaści.

STANISŁAW JUCHA

Pomyłki Pogana

Artykuł Józefa Pogana w 19 nr. „Wsi" o zagadnieniu gwary poruszył kwestię żywą i ważną. W czasie mojej dyskusji z autorem w Będkowicach w latach okupacji uzgodniliśmy wiele spraw, dzisiejsze jednak stanowisko autora odbiega od tamtych ustaleń. Ponieważ Redakcja „Wsi" uprzejmie zaprasza wszystkich zainteresowanych do wypowiedzi, czynię tych kilka uwag. Atutem moim skromnym niech będzie fakt, że mam ukończone studia polonistyczno - slawistyczne w zakresie językoznawczym oraz 5 lat bliskiego zżycia się z chłopami i opanowania gwary Będkowic (powiat Olkusz) tak, że sam nią dziś piszę.

Więc najpierw przed meritum sprawy: Mówi się w niektórych gwarach „un", „jageś", „Pombuk", „Poniezus" i „brzyćki". Pisownia gwarowa „łokno" i „uokno", „płot" „puot" jest usprawiedliwiona, bo tak się mówi. Co więcej mówi się „ić" zamiast „idź", „sieć" zamiast „siedź", „grat" a nie „grad" i to nie tylko w gwarach, ale i w języku literackim. Nikt w Polsce nie mówi „idź", „siedź", chyba jakiś pedantyczny dziwak. Mówi się zatem „ić", „sieć", „grat", choć się tak nie pisze. Bo mówić a pisać to dwie różne rzeczy.

Istnieją tak nazwane przez Pogana „zryczałtowane" wyrażenia, wbrew jego twierdzeniu — nawet w języku literackim. Należą do nich zwroty literackiego języka: „dobranoc!", „Wielkanoc", „jak się masz?" (jaksiemasz). Gwarowe: „Pombuk", „Poniezus", „Wielgawieś" (w odmianie: Wielgiwsi), nawet „święty Pieterpaweł".

Już w czasie dyskusji naszych w Będkowicach zauważyłem, że Józef Pogan podlega może i dającemu się wytłumaczyć złudzeniu, że w całej Polsce gwarowej mówi się jednako. Popiera to jego twierdzenie w ostatnim artykule: „przecież można fonetykę wszystkich narzeczy sprowadzić do wspólnego mianownika". Jest to złudzenie autora tych słów. Co by Józef Pogan powiedział, gdybym go zapewnił, że Kaszubi nie mówią „gibki" tylko „dzipci", że w szeregu dialektów Polski północnej nie mówi się „wełna", „mełł" tylko „wiołna", „miołł", nie mówi się „świat", „świadek", tylko „śwat", „śwadek", nie mówi się „bieda", „piwo" tylko „bzieda", „psiwo"?

A teraz sedno zagadnienia.

1) Różnica między wymową a pisownią. Język jest organizmem żywym i podlega rozwojowi — ciągle się zmienia. Przy tym w rozwoju takim wymowa zmienia się prędzej, niż pisownia potrafi te zmiany dogonić.

Wymowa wyrasta ciągle z zaciasnej pisowni jak młodzieniec z butów. Pisownia jest konserwatystą, wymowa radykałem. Np. Francuz słowo „piękny" pisze ciągle i uparcie „beau" (4 litery), choć już od wieków wymawia „bo" (2 głoski). Podobnie Polak pisze „idź", choć mówi tylko i wyłącznie „ić", pisze „urzędnik", choć mówi tylko „urzennik", pisze „sześćdziesiąt", choć mówi tylko „szeździesiąt". Stąd jasne, że pisownia stałą być nie może, jest ona ciągłym prowizorium. Narody konserwatywne jak Anglicy, Francuzi zachowują starożytną pisownię, choć mówią już całkiem inaczej. Narody radykalne reformują ją ciągle, bo chcą, żeby pisownia zgadzała się z rozwojem języka i jego wymową. Tak np. pisownia serbska jest młodociana i fonetyczna: pisze się tam „potpalili" = podpalić, nie zaś „podpalili", pisze się nawet „srpski" = serbski, choć się mówi Srb = Serb. Polaka jeszcze nie stać na ortografię „sérpski", choć tylko tak wymawia. W polskiej pisowni jest jeszcze dużo konserwatyzmu. Trzeba więc zrozumieć fakt, że jeśli się dziś pisze różnie „stóg" i „stuk" = hałas, to nie dlatego, żeby się te dwa wyrazy inaczej wymawiało, bo wymawia się jednako. W dzisiejszej naszej pisowni jest więc „ó" niepotrzebne, a jeśli jest zachowane, to przez konserwatyzm, dlatego, że w dawnej Polsce wymawiało się „ó" inaczej niż „u". Choć więc zawsze mamy w danym kraju ustaloną panującą pisownię, nie jest ona świętością i nienaruszonym kanonem. Tylko nienaukowiec ma dla pisowni kult, natomiast uczony — filolog patrzy na nią z uśmiechem pobłażania jak na coś niestałego, zmiennego i wiecznie niedoskonałego jak na zjawisko, które się bada.

2) Nie ma ortografii gwarowej. O ile jednak filolog — naukowiec nie potrzebuje ustalonej pisowni i słowniczka ortograficznego, to profan — nienaukowiec, który o prawach języka nie ma wyobrażenia, potrzebuje tym więcej właśnie pisowni ustalonej. Musi ją mieć, bo inaczej zapanuje kompletny chaos. W tym więc celu akademie umiejętności wszystkich krajów wydają obowiązujące zasady pisowni danego języka. Pisownia „urzędowa" dotyczy jednak tylko języka literackiego. Nie ma nigdzie obowiązujących pisowni gwarowych i myśl o czymś podobnym jest mrzonką, bo gwar jest w każdym kraju dużo a piszących gwarą mało.

3) Transkrypcja gwarowa. Naukowi badacze gwar używają do ich spisywania specjalnej odmiany alfabetu transkrypcyjnego, w którym każdą głoskę wyraża się jedną literą. Tak np. w słowie „dziób" są tylko trzy głoski (dźwięki) dź-u-p, choć piszemy 5 liter (znaków). Naukowcy piszą to trzema literami. Zapisują oni gwarę tak, jak się ją dziś mówi. Piszą więc „pombuk", „Poniezus", „jageś", „pude", „uokno". Gdybyśmy chcieli zgodzić się na zarzuty Józefa Pogana, musielibyśmy stwierdzić, że znakomity dialektolog polski prof. Kazimierz Nitsch w swych „Tekstach gwarowych" w „Dialektach języka polskiego" i w szeregu źródłowych prac, które są chlubą nie tylko dialektologii polskiej, lecz europejskiej nawet, „postrzelał" grubo więcej błędów niż delikwenci Józefa Pogana — Kubisz i Jucha.

4) Wybór między pisownią „urzędową", a fonetyczną. Ponieważ zatem „urzędowej" pisowni gwarowej ustalić nie można i nie ma celu, trzeba wybór rodzaju pisowni ludowej zostawić samemu pisarzowi, jego sumieniu i odpowiedzialności. Tak też dotąd było. Nikt nie atakował z zacietrzewieniem godnym lepszej sprawy — pisowni Tetmajera, Reymonta czy Kędziory, choć filolog — znawca na niejedno mógły pokręcić nosem. Autor ludowy ma do wyboru między pisownią „urzędową" 1) „ptak", 2) „ser", „śnieg", 3) „gęba", „mąka", „chodzą", „matkę", 4) „okno", 5) „czas", „żaba", „nasz" i t. d. a pisownią fonetyczną danej gwary tzn. tak, jak się ją dziś wymawia: 1) „ptok", 2) „syr", „śniyk" („śnik"), 3) „gymba" „gamba", „gemba", „monka" („munka"), „chodzom", „matke", 4) „uokno" (łokno), 5) „cas", „zaba", „nas". Podane tu pod numerami zjawiska to tylko ich drobniutka cząstka, jedna fala w ogromnym morzu zagadnień i zjawisk polskich dialektów, zjawisk, które pisarz ludowy ma prawo przelać na papier.

5) Względy praktyczne. Pisarza ludowego piszącego „mlyko", „Pombuk", „fto", „na nogak" nie możecie za to stawiać przed sąd, bo wam odpowie: „Piszę gwarą, nie językiem literackim, a gwara nie ma ustalonej ortografii". Będzie miał słuszność. Powiedziałby wam zresztą jeszcze: „Piszę tak, bo tak słyszę; gdybym pisał inaczej, okłamywałbym was i przekręcał rzeczywistość". I miałby ten pisarz słuszność po raz drugi. Co innego jednak względy praktyczne. Pod tym kątem widzenia zbliżymy się do żądań Józefa Pogana. Ortografię więc „literacką" („ptak", „gęba", „okno") można stosować w piśmiennictwie ludowym w związku z faktem urbanizacji kultury wiejskiej, co zwłaszcza po obecnym przełomie dziejowym stanie się zjawiskiem powszechnym i pójdzie w tempie przyśpieszonym. Nie ma sensu bronić gwar przed zalewem języka literackiego, bo one temu zalewowi i tak ulegną.

6) Zostawiając pisarzowi ludowemu wolność pisowni gwarowej z jednej strony i apelując do jego sumienia i odpowiedzialności z drugiej, tzn. aby nie był niechlujny i nie pisał raz tak a drugi raz inaczej, oraz nie pisał jak Filip z Konopi „Płóg", „dłógo", co słusznie podkreślił Pogan, warto by wnieść do ludowego pisarza jeszcze jeden gorący apel. Niech postara się on o jakie takie przygotowanie językoznawcze. Przecież nie znając tajemnic swego języka ojczystego, jego prawideł i historii będzie on zawsze dyletantem. Radziłbym też pisarzom ludowym zwrócić się w trudniejszych sprawach do gwaroznawcy, prof. Kazimierza Nitscha w Krakowie, tego „pracowitego pająka", który siecią swoich badań oprządł całą Polskę, jak się o nim wyraził Żeromski w dziele swoim „Snobizm i postęp". Uczony zadziwi każdego głębią wiedzy, a wyjaśnień nie odmówi nikomu.

ZDZISŁAW JERZY KEMPF

STANISŁAW PIĘTAK

Sandomierskie w kwietniu 1945 r.

Czy i ptak opuścił tę krainę?
Trupy drzew, leje otwierają dna.
Malec w pustce idzie i na minę
stąpnie, wystrzeli w śniade niebo piach.

Po horyzont martwo, spaleniska.
Rany lasów, step pól, kościołów rdza.
Liść nie błyśnie, uschną bojów rżyska
zostanie matek, co tu idą, łza.

Ziemio, jakże byłaś żyzna, piękna.
Strumieni, zbóż, pagórków niósł się głos.
Wieczorem dziewcząt u wrót pieśń tęskna
chwiała w promieniu gwiezdnym kwiat i kłos

Dziś krwią, echem zmarłych tylko broczysz.
Rola nie burzy się, drutami schnie.
O, kto kochał chat twych siwe oczy,
do domu swego wróci, ale w śnie.

ZYGMUNT SIERP

Pasłem krowy

W sinawy pobrzask zanurzone szyje
liżą olchowy poranek nad bagnem —
pod mgłą wczorajszą przebudzone ptactwo
sny wytrzepuje piosenką bezładne.

Gdyby tu Ezop chciał podrzucić bajkę
(na pewno taką, która nie zaginie),
toby mnie spotkał strzegącego miedzy,
za którą rosną skarby w koniczynie.

Opodal widać zaranną idyllę,
jak bałamucą się w gałęziach ptaki,
którą obchodzą bociany wstydliwie,
miękkie wzruszenie unoszą za krzaki.

Nikt się nie śpieszy, tylko czas odpływa
wysoką chmurą przez nieba wierzeje —
tylem go czekał, że na pewno starczy,
wymionom, w których nasz udój dojrzeje.

JÓZEF-ANDRZEJ FRASIK

Poeta demokracji

Adam Włodek rozpoczął swoją działalność poetycką w okresie okupacji, czytając pierwsze swoje utwory na konspiracyjnych wieczorach Krakowa, głównie w domu Heleny Wielowieyskiej. Wyrastał w atmosferze buntu, przeciw dławiącej rzeczywistości i wtedy właśnie, w okresie obejmującym pierwsze jego próby poezjowania, w kontakcie z pisarzami o demokratycznej orientacji, rozpoczął się proces krystalizacji jego poetyckiego światopoglądu. Z pochodzenia będąc chłopcem, — poeta niejednokrotnie daje wyraz swojej chłopskości dawnej — nie tej sielskiej-anielskiej, ale dynamicznej („pradziad poszedł czerwoną robotę Szeli wspierać"). Dziś poeta znajduje się już poza tą chłopską rzeczywistością, „chłop urodzony w mieście", jak sam pisze o sobie w wierszu pt. **Pamiętam** — tu, w mieście, zostaje całkowicie wchłonięty przez walczący i wyzwalający się proletariat, z którym zespala się ideologicznie, śpiewając wszystkie jego tęsknoty i smutki. Od ziemi więc, poprzez małorolność i bezrolność wreszcie, wiedzie ideologiczny rodowód poety. Jeszcze echa dawnych z dzieciństwa wyjętych koniczyn i chałup („Widzę wszystko tak jasno, gdy strzechy cień chłodem owija mi twarz"), a już jawi się poecie „robotnicza troska nabiegła krwią". To bezrolny chłop, rzucony w miasto, uświadamia sobie łączność z proletariatem. Ale Włodka nie można nazwać z tego powodu poetą klasy robotniczej. Włodek nie trzyma się ciasnych ram klasowości, ale w swoim poetyckim odczuwaniu, sięga dalej — i to jest piękne — do dziedzin ogólno narodowych. Jego poezja, to „biało-czerwony z czerwonym śpiew".

„Najcichszy Sztandar"*) jest pierwszą książką poetycką Włodka. Co do formy książka ta bierze rodowód z „Awangardy" poetyckiej, głównie z Przybosia, którego nowatorska technika poetycka zaciążyła bardzo poważnie na młodym pokoleniu pisarzy. Włodek uległ temu wpływowi całkowicie, co odbiło się wyraźnie na strukturze wierszy zbiorku. Czy wybór szczęśliwy? Okaże przyszłość. W zbiorku niema ani jednego wiersza stroficznego, pisanego według zasad klasycznej poetyki. Poeta unika starych form wierszowych nawet tam, gdzie słowa same łamią mu się w strofę, jakby uważał je za wygrane, wyśpiewane już, a zatym banalne. A szkoda. Bowiem Włodek jest poetą z prawdziwego zdarzenia. Nie śpiewa cudzych myśli, ale swoje własne wizje przeżyte. Nie tworzy pięknych zdań, o niczym, ale śpiewa rzeczy drobne i wielkie, które dzieją się obok niego i w nim. W tym leży wartość jego poetyckiego debiutu.

*) Adam Włodek, **Najcichszy Sztandar**, poezja, Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik", Kraków 1945 rok, stron 32.

TEODOR GOŻDZIKIEWICZ

Ziele w ogrodzie

(Wyjątek z powieści)

Mam przeszło sześćdziesięcioosobową gromadę dzieciaków. Same to **łowiczanki** z najrdzenniejszych **księżaków.** Dziewczynki noszą wełniaczki w szerokie pasy żółte i różnokolorowe drobniejsze. Głowy obwiązują kolorowymi chusteczkami. Są tęgie, rozłożyste w tych bufiastych i fałdzistych „kieckach" sięgających nieledwie ziemi. Zresztą zawsze coś mają za dużego, bo robionego na „wyrost" w tej nadziei, że nie zedrze się na jednej skórze, a starczy dla kilkorga. Chłopcy nie mają kolorowych portek — (moja wieś, leżąc na kresach łowickiego, poddaje się już wpływom zzewnątrz). Mają ubrania sportowe, skrojone na wzór „miejskich" z kieszonkami po bokach, na piersiach i z paseczkiem z tyłu. Ale jest w tym autentyczna wełna utkana na samorodnych krosnach, ufarbowana w kuchni przez matkę w zwykłym saganie na kolor czarny lub ciemnoburaczkowy. To kanon, od którego nikt się i dziś jeszcze nie waży odstąpić pod grozą narażenia się na śmiech.

Kiedy wchodzę do klasy i rzucam okiem na skupioną w pięcioosobowych ławach czeredę, mimowoli porównywam i oceniam. Ten nawyk u młodego nauczyciela jest echem wszystkich owych wyższych ambicji, jakie budzono w nas w seminarium, echem przykazania o podniosłej roli społecznej pedagoga.

Twarze moje dzieci mają miłe w wyrazie. Brak w nich spłaszczeń w owalu. Lekko szersze w czole, łagodna linia policzków łączy się w dość spiczastą brodę, tworząc kształt wysmukłego serca. Widocznie nikt na tych błotach nie osadzał zagarniętych w niewolę Tatarów, bo brak jest skośnych szpar oczu, nawisłych fałd nadocznych i kości policzkowych wypukłych. A jeśli nawet byli, to utonęli w rasie księżackiego chłopa.

Ale co jest z włosami? Ani jednej głowy prawdziwie mazurskiej — lnianowłosej. Czaszki są porosłe szaropłową, ciemnoblond gęstwą prostych, twardych włosów — ani jednego z poetycką kręconą czupryną. Skąpstwo natury, czy selekcja gatunku? Może to zresztą jedna z wielu nieznanych mi dystynkcji łowickiej rasy?

Noski mają jeśli nie zadarte, to proste. Ale spotykają się u nich i „arystokratyczne" — zgoła orle albo sokole. Przypomina się żart naszego doktora szkolnego (powiedziany zresztą półserio), że blisko dworów i kościołów ludzie na wsi nieźle są **podrasowani...** A jeszcze łowickie, dominium arcybiskupów — prymasów — interreksów. Wysoko to były przecież postawione osoby, same magnackie szczyty!... Oczy? Najwięcej zielonych, potem niebieskich, a czarne rzadko. Jeśli się takie znajdą to — rarytas. Każdy się czuje w obowiązku czarnym przymówić.

— „Zosia! coś ty się dzisiaj nie myła, takie mos oło brudne ocki. Zosia!...".

Nie wiem, co to jest takiego, nie mogę sobie odpowiedzieć na pytanie w granicach mojej wiedzy — (seminarium nie wystarcza na te zagadnienia) — czemu oto z tej pięćdziesiątki bąków wysunęły mi się dwa. Dwie dziewczynki. Traktuje przecież wszystkich równo, jak trzeba. A jednak Jaśka jest mi jakaś bliższa, wyraźniejsza, zawsze ją zauważę, zawsze na nią zwrócę uwagę. Czy dlatego, że się najlepiej uczy? Że wszystko doskonale pamięta? Że zawsze, że codziennie, pedantycznie zrobi i zrobi dobrze? Nigdy nie **zapomni?** Nigdy jej „mamusia do roboty nie napędzi"? Nigdy do szkoły się nie spóźni? Nigdy się nie skarży, ani na nią nie donoszą? Zawsze jest chętna, miła, ruchliwa, nie za głośna, podskórnie jakby uśmiechnięta? Czy dlatego? Uśmiech ten — nazywam — **niciany,** wąską, wąziuteczką strużką cienkich warg zakreślony, spływający niteczkami brózd przynosowych na całe liczko. Ledwo, ledwo się zapalą maleńkie „panienki" źrenic. Oczy ma małe — rozbiegane, spłoszone, drgające, rzadko gdzie i kiedy miejsca zagrzeją. Ale zarazem uważne, skupione, jak u dzikiego zwierzątka.

Druga — Stefka... Gdy na nią spojrzę, uśmiecha się do mnie jakoś wstydliwie, nie dziecięco, ale jak gdyby kobieco. Czyżby to była malutka kobietką? Czyżby się w niej już to odzywało? Niemożliwe! Ma dwunasty rok dopiero! Być może, że nie, ale coś takiego w tym jej uśmiechu jest, czy widzę? I za ten uśmiech chyba ją lubię, za uśmiech, który mi coś przypomina, coś podsuwa, czego nie ma, czego nie widziałem, ale co mógłbym przypomnieć, co mógłbym tak mi się wydaje — np. wierszem wyrazić. Co to jest takiego? Wystarczy, bym tylko wśród lekcji spojrzał na nią, krótko, przelotnie, a gdy się uśmiechnie po swojemu, wargami i oczyma, wbija mnie w zdumienie samo pytanie: co to jest?

Jest jakaś ufna, śmiała, spokojna, jak gdyby koleżeńska. Nie czuje zakłopotania, gdy czegoś nie wie. Nie wstydzi się, gdy ze mną rozmawia. Stanie przy mnie, podniesie główkę wysoko, oczy na mnie pewnie oprze, oczy jakieś bladoniebieskie, ciche, bez dziecięcych figlików lub dziecięcego lęku.

Mówi: — nie, nie to — i podnosi śmiało rękę moją z karty zeszytu czy książki, opiera ją na stole i swoimi przemarzniętymi czerwonymi palcami przewraca stronice, szuka. Podnosi moją dłoń tak, jakby to nie była moja, jakby to była jej rzecz — śmiało i swobodnie. Nie mogę się temu nadziwić. Tej otwartości.

*

Kiedy o nich dwóch myślę — reszta jest plamą. Całokształt bez szczegółów. Zaginęły indywidua. Nie widzę dążeń, chceń, objawów. Nie obchodzą mnie blisko, ponieważ mnie nie uderzają. Pozostaje szereg, rząd na ćwiczeniach, który wykonuje rozkaz. Wyjąć książki, wyjąć zeszyty, czytać cicho albo głośno, wstać czy siąść. W skrócie wykrzyknikowym: wstań! — siad! Męczyłoby mnie niezmiernie wszystko widzieć, kojarzyć, pamiętać. Nie chcę już, odciążam pamięć. Czy celowo, czy świadomie? I dlaczego nie mogę inaczej? A może nie chcę?

*

Dzisiaj, zaraz z rana, zauważyłem, że Stefka coś się koło mnie za d[illegible]. Raz, drugi, trzeci. O co chodzi? Ja do drzwi — ona do drzwi. Wyprzedza mnie. Ja na dwór, ona do klasy. Opuszcza jakoś charakterystycznie, znacząco głowę. Jest bez chustki. Co to ma znaczyć? Czyżby ten grzebień? Nic nie mówię, czekam i obserwuję. A Stefka na lekcji nieustannie się czesze. Raz wraz patrząc na mnie gładzi ku tyłowi swoje zwichrzone, suche włosy. Co mi przez to chce powiedzieć? Jedna pauza — to samo chodzenie. Druga pauza — to samo. We włosach, roztrzepanych włosach, trochę jakby wyburzałych, zielonopstry, modny grzebień. Wczepiła go sobie w sam czubek głowy. Wstaję i patrzę ostentacyjnie na jej potarganą głowę. Zatrzymuję się — zatrzymuje się i ona. Widzę, że już otwiera usta, że już — już chce przemówić. Więc udaję, że nic nie zauważyłem i wracam do lekcji. Wyraźnie się zachmurzyła, wyraźnie jest niezadowolona i rozczarowana.

Jestem dziwnie uparty i przekorny. Nic.

Dopiero, gdzieś pod koniec lekcyj, pytam:

— A cóż ty Stefka masz taki cudaczny grzebień?...

Utonęła cała w uśmiechu. Śmiała się ustami, oczyma, całą twarzyczką. Zrobiła się aż czerwona. Urosła, wyolbrzymiała. Wyjęła grzebień, niby niechcący i pokazuje mi takim jakimś gestem, z którego mam zrozumieć to, żebym go wziął we własne ręce.

— Mamusia — mówi — mi kupieli wcoraj na jarmarku... Kostował tsy złote...

Słucham, oczywiście, słucham pilnie tego wszystkiego, kiwam głową i mówię: no, no — też grzebień... ale że to taki zielony?... co?...

— A bo ja taki nojbardzi lubie...

Ciekawe, myślę sobie, ciekawe: czy też dlatego go masz, że lubisz zielony, czy też dlatego lubisz zielony, że taki masz... ciekawe. Odsunąłem się od gromadki i niby nie zwracam na nią uwagi. Ale widzę kątem jednego oka, jak się puszy, jak się wznosi między dziewczynkami, jak rośnie, że oto **sam pan** zainteresował się jej grzebieniem. I nie pamięta już pewnie, ile to się nastarała, żebym go zauważył.

MACIEJ CZUŁA

Pisarze ludowi byli dziennikarzami

W numerze 10 „Wsi" w artykule naczelnego redaktora p. t. „Sztuka najtańsze dobro biednych" *znajduje się między innymi taki ustęp:*

„Ci powiatowi pisarze jak Szarek i Magryś pisali o wszystkim: artykuły polityczne, opisy kraju, powiastki, legendy, przysłowia, wiersze itd. Ale zawodowymi dziennikarzami ani literatami nie byli. Ich „powiatowa" rola ani nie dozwalała tego, ani nie wymagała. Magryś, który ma w swym dorobku 111 pozycji artykułowych, pisywał mniej więcej cztery razy na rok".

Magryś rzeczywiście jako literat ludowy napisał za mało. Ale inni napisali od niego znacznie więcej, niektórzy nie 4 na rok, ale 4 artykuły na tydzień. Spróbujmy wymienić i policzyć niektórych chłopów-dziennikarzy, ale przed tym ustalmy, kto może być uważany za dziennikarza?

Otóż moim zdaniem dziennikarzem jest ten, kto przynajmniej pisze jeden artykuł na tydzień. Tak bywa z każdym, kto redaguje pismo tygodniowe, daje przeważnie do każdego numeru.

Przypomnieć chociażby można Bojkę. Pisał bardzo dużo w latach — zdaje się: 1907 — 9. Redagował nateneczas w Krakowie organ SL „Przyjaciel Ludu". Albo Wincenty Witos, kiedy w latach 1919 — 24 redagowałem mu jego przyboczny organ „Lud polski" pisywał prawie stale co tydzień artykuł.

Dziennikarzem mógł się śmiało nazwać Jantek z Bugaja, gdyż redagował naprzód „Cepy", potem „Figlarza", a pisywał także stale do „Dziennika Związkowego" w Ameryce, za co otrzymywał 10 dol. miesięcznie. Dziennikarzem był Wł. Wójcik (dwie klasy gimnazjalne) redagując jakiś czas „Przyjaciela Ludu", a po wyemigrowaniu do Ameryki, pisywał mnóstwo artykułów (kilka tygodniowo) do „Ameryki Echa".

Redaktorem dziennikarzem był także Niećko i choć on podobno nie wiele z wielkiej nauki liznął — przecież jest na swój sposób wybitnym dziennikarzem.

A w końcu redaktorem i dziennikarzem może być nazwany i autor tego artykuliku — bo jakiś czas pracował stale w Redakcji „Piasta", a cztery lata był redaktorem (rzeczywistym) „Ludu polskiego" w Tarnowie. Wielu chłopów-samouków było dziennikarzami i zapewne jeszcze wielu nimi będzie.

WYJAŚNIENIE

Pisałem o tym, że pokolenie Szarka, Magrysia i Sawczuka nie wytworzyło *zawodowych* literatów i dziennikarzy. Na co się Maciej Czuła zgadza. Pokolenie to działało 70 — 60 lat temu. Okres dziennikarstwa ludowego, z którego szereg pisarzy i pozycji wymienia M. Czuła liczyć dopiero można od 40 lat. Po tym wyjaśnieniu jesteśmy już chyba w zgodzie. Niechże ją jeszcze umocni artykuł wstępny, poświęcony właśnie tej drugiej fali dziennikarstwa ludowego i tłumaczący społeczne warunki jej powstania.

J. A. KRÓL

Za sąsiedzką miedzą...

Co się dzieje na Zaolziu

Organ intelektualistów czeskich a zarazem dziennik praskiego „hradu", wychodzący w Bernie pod tytułem „Svobodne Nowiny" przynosi w numerze 180 z dnia 23 grudnia 1945 roku na pierwszej stronie doniesienie z Pragi pod tytułem: „Obronimy swe przedmonachijskie granice". Cytujemy artykuł ten in extenso:

„W ciekawej i pełnej inicjatywy dyskusji, która się odbyła dnia 20 grudnia br. w komisji zagranicznej tymczasowego Narodowego Zgromadzenia po wygłoszonym expose ministra spraw zagranicznych Jana Masaryka, zabrała głos większość członków komisji ze wszystkich partii politycznych narodowego frontu. Przedmiotem zapytań były przede wszystkim stosunki na Cieszyńskim i kwestie wiążące się z wznowionym rewizjonizmem węgierskim.

Posłowie, którzy wnieśli zapytania w sprawie Zaolzia i o naszym stosunku względem Polski, wskazywali w szczególności na odmienne postępowanie czesko-słowackiego i polskiego rządu w kwestii cieszyńskiej w ostatnim czasie. Polacy nie przyciszyli (nesewuji) swej szczującej kampanii, którą prowadzą wszelkimi możliwymi i najbardziej drastycznymi środkami – a także ze strony polskiego rządu dotąd nie usłyszeliśmy żadnej wypowiedzi, która oznaczałaby zmianę żądania o rewizję cieszyńskich granic. W przeciwieństwie rząd czeskosłowacki nie tylko w swych oficjalnych wypowiedziach, ale także w administracji na Zaolziu cechował umiar (zdrženlivost) i największa dobra wola względem polskiej ludności na Cieszyńskim. Z porównania polskiej aktywności i czesko-słowackiego umiaru zniknęło w ostatnim czasie na Zaolziu poczucie niepewności, zaś miejscowa ludność się zapytuje czy może czeskosłowacki rząd nie opuścił coś (neslevil) ze swego zasadniczego stanowiska w kwestii cieszyńskiej.

Minister spraw zagranicznych, odpowiadając posłom, znowu powtórzył to, co już wygłosił w swym exposé i podkreślił z pełnym zdecydowaniem, że rząd czesko-słowacki w żadnych wypadkach nie zrzeknie się Cieszyńskiego i zrzec się go nie może. Swe przedmonachijskie granice bronimy zasadniczo i konsekwentnie a także je obronimy. Wszyscy członkowie rządu w tym względzie wykazują jednomyślność".

Tyle o Zaolziu, dalszy ciąg artykułu poświęcony jest sprawie węgiersko-czeskiej, która nagle wypłynęła po ostatniej bytności delegacji węgierskiej w Pradze. Węgrzy dosyć zdecydowanie wypowiedzieli swe stanowisko w sprawie obszarów zamieszkałych przez ludność węgierską, a znajdujących się również w obrębie działań administracji czeskiej. Jest to więc już drugi po polskim Zaolziu „szkopuł" w czeskiej polityce zagranicznej.

Nie chodzi nam zresztą o inne kłopoty czeskie, lecz o sposób przemawiania czeskich polityków czy tymczasowych, dorywczo mianowanych posłów w sprawie Zaolzia. Sposób ten jest mocno perfidny i haniebny w sam raz może nadający się do powielenia w biuletynach angielskiej agencji prasowej „Reuter", która tak bardzo lubi przedrukowywać bezpodstawne elukubracje i słowną ekwilibrystykę czeskich polityków jeśli chodzi o tendencyjne wypowiedzi w sprawie Zaolzia, zbrojnie i podstępnie zagarniętego przez czeskiego generała Sznejdarka dnia 21 stycznia 1919 roku. Jeśli dzisiaj czeski minister spraw zagranicznych Jan Masaryk śmie twierdzić, że administracja na Zaolziu bodajże pozwalała się zjadać jak baranek tamtejszym Polakom, gdyż cechował ją aż taki umiar, to niestety my właśnie musimy stwierdzić inaczej.

Więzienia... owszem siedzą w nich Polacy! Wysiedlania... nakazy dziesiątkami płyną każdodziennie pod adresem słowiańskich polskich rodzin na Zaolziu. Napisy, tylko czeskie... tak na sposób niemiecki! Język urzędowy... tylko czeski! Szkolnictwo polskie... cmentarz. W roku 1939 za rządów czeskich, wyniszczających to samo polskie szkolnictwo słowiańskie było na Zaolziu 78 ochronek, dzisiaj jest ich tylko 18! Szkoły gospodarcze na Zaolziu... posiadali Polacy 3... dzisiaj nie mają żadnej. Dawanie pracy Polakom... szopa... jeśli ktoś będzie lojalny tzn. okaże w sobie zadatek na zczechizowanie może otrzymać pracę... łopata do rąk, studia nieważne! Tak brzmi i tak się nazywa umiar czeskiej administracji na Zaolziu, brawo panie ministrze Janie Masaryku! Ba nawet czeska gwiazdka jest dla Polaków na Zaolziu, w wigilię dnia 24 grudnia 1945 do polskiej rodziny w miejscowości Rychwałd na Zaolziu wtargnęła do mieszkania czeska policja. Na stole paliła się choinka, a polską rodzinę wysiedlono poza granice słowiańskiego państwa! Dotąd około 15.000 Zaolzian musiało opuścić swe rodzinne strony, bo tam brak pracy, szykany, widmo najgorszych chwil, – poszli do Polski, przeklinając tych, przybyszów z Moraw i Czech, którzy przyszli rozburzyć im i wykraść kraj rodzinny w ich własnym domu! Ale pan minister Masaryk gada, gada także o nieustępliwej propagandzie polskiej, mając na myśli propagandę czeską, te wszystkie wyczyny broszurowe różnych kryminalistów w rodzaju takiego Joža Vochala. Alboż taką propagandę jaką tumaniono Radę Ambasadorów w roku 1920, kiedy kazano sufłować rzekomo prawo czeskie do Śląska Koždoniowi, którego pan Hitler odznaczył później złotą odznaką NSDAP a ojciec ministra Jana Masaryka ładnie i pochwalnie opisał w swych filozoficznych książkach, prawiąc, że jedynie Koždoniowi zawdzięcza Czechosłowacja „nabycie" Zaolzia! Pamiętamy to, dobrze pamiętamy. I wiemy o tym, jak dzisiaj rehabilituje ta sama administracja czeska na Zaolziu Niemców, którzy nazwali się już prędko i składnie Czechami. Wiemy o tym, że ta sama administracja zatwierdza Niemców jako nauczycieli w niewielu pozostałych szkołach polskich na Zaolziu a uświadomionemu polskiemu nauczycielowi nie chce dać rozmyślnie posady, i prędko pozbawia go „świadectwa zaufania". Wiemy jak to żandarmeria czeska wypisując „świadectwo zaufania" siedemnastoletniemu chłopcu Polakowi, napisała, że nie może być on lojalnym, bo w roku 1939 należał do „Ozonu" i był bekowcem. Dziwny był ten Ozon, który 11-letnich chłopaków przyjmował na członków.

Kal.

Z ludowej poezji bułgarskiej

(Wiersze Iwana Wazowa i Łamara — w przekładzie Zdzisława Jerzego Kempfa)

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze drugą kolejną kolumnę obcej poezji ludowej (patrz „Mircjo" — poemat z prawansalskiego w Nr 21 „Wsi"). Red.

***

Iwan Wazow, jeden z najświetniejszych poetów bułgarskich starszego pokolenia, był w całym tego słowa znaczeniu chlubą własnego kraju. Z jednej strony jako działacz i patrjota, uczestnik powstania kwietniowego przeciw Turkom w r. 1876, z drugiej strony jako ten pisarz, który niewyrobiony, ludowy język bułgarski wzniósł na wyżyny literackie i przyodział w strojną szatę dźwięcznego wiersza. Los rzucał Wazowa po świecie. Twórczość swą rozpoczął w Konstantynopolu jeszcze pod jarzmem tureckim, w Rumunii napisał zbiorki wierszy „Prjaporec i gusła" (Sztandar i gęśle) i „Tagite na Bałgarija" (Smutki Bułgarii). Zdarzenia wojny serbsko - bułgarskiej z r. 1885 dały mu natchnienie do zbiorku wierszy pt. „Śliwnica". W r. 1886 pod wpływem zamachu stanu wyemigrował do Odessy, gdzie napisał swą najsławniejszą powieść „Pod igoto" (Pod jarzmem) z dziejów niewoli tureckiej. W r. 1895 uwieńczony został z okazji 25-letniego jubileuszu jako poeta narodowy, a w r. 1897 objął godność ministra oświaty. Wojna bałkańska i następne, od których Bułgaria trzęsła się wszerz i wzdłuż, dostarczyły mu materiału do zbiorków „Pod garma na pobedite" (Gromy zwycięstw), „Peśni za Makedonija" (Pieśni macedońskie) i „Nowi ekowe" (Nowe echa). Ostatnim głosem jego w r. 1920 był zbiorek „Ljuljaka mi zamirisa" (Bzy mi zapachniały). W rok po jubileuszu 50-letniej artystycznej i politycznej działalności, w którym cały naród bułgarski złożył mu głęboki hołd, zmarł ten wódz i wieszcz odrodzonej Bułgarii 20 września 1921.

IWAN WAZOW

Bujne pola

(BUJNITE NIWIA)

O, ciężko, ciężko tutaj! Nagi i spalony
Czatałdży groźny kraj — pustynia w koło głucha!
Tęsknią żołnierze hen, w ojczyste, miłe strony,
Głęboka żałość im jak głaz przytłacza ducha.

Tęsknią do wsi rzuconych w wojny zawierusze,
Do łanów bujnych, które zasiał im kłoś drugi,
Marzą o świętym trudzie tęskne synów dusze,
Tam, gdzie się w czarnych bruzdach srebrzą ojców pługi.

Maj jest... Lecz nigdzie trawki źdźbła, ni snu o wiośnie
W bezpłodnym kraju tym, w krąg krwią zroszonym!
Przeklęty step! Tęsknica jeno w sercu rośnie,
Srożej uciska piersi z każdym dniem minionym.

Bułgario droga! Gdzieżeś ty? O, kiedy z krajem
Trudu, radości, życia przyjdzie się przywitać?
U ciebie młodość jest młodością, maj jest majem!
Kiedy już zorze twego słońca będą świtać?

Błogosławiony czas! Na północ pociąg leci,
Żelaznych wozów sznur, orężną młodzią ludny...
Walą serca jak dzwon! Maricy wstęga świeci
Oszołomiony wzrok na świat spogląda cudny!

Tam hen, zielonych niw jasna się ruń wynurza,
Obrazy nieobjęte wzrokiem. Jak wspaniale,
Czarownie niżą się te pola i te wzgórza,
Kołyszą się leniwie niby morskie fale.

O, tu już mieszka Bóg! Niebiańska tu prawica
Za święty chłopski trud rozrzuca dar obfity,
Nad żytem szumi las, modrawo skrzy Marica
I pieśniarz — słowik łka, w pachnącym gąszczu skryty.

A pociąg leci wciąż, w zielony kraj się nurza,
Pełen żołnierzy młodych, pijanych od zachwytu!
Aż: „Hurra!" z setek piersi bucha niby burza,
I huczy długim echem hen do niebios szczytu!

Hej, kto z tysiąca piersi wydarł krzyk burzliwy?
Jaki dziw! Czy wódz przejeżdżał tam zwycięski
I gromko witał go żołnierski huf szczęśliwy,
Czy Soluń padł i z wrażej się radują klęski?

Czy żołnierze wspomnieli zwycięstwa w tej chwili,
Czy w zorzy błysła im sztandaru aureola,
Czy matki, dzieci, kochanki swoje zobaczyli?
Nie! Oni „Hurra!" tym witali bujne pola.

Anonimowy poeta współczesnej Bułgarii Łamar jest chłopem z pochodzenia. Urodził się we wiosce Kałejca pod miastem Trojan w 1898. Pierwszy raz drukował w r. 1920. Wydał w r. 1922 zbiór wierszy pt. „Arena", w r. 1927 „Żelazne ikony" oraz w 1928 poemat „Mirni razmirni godini", który to tytuł można by przetłumaczyć jako „Lata przed burzą". Łamar jest typowym piewcą nędzy proletarjatu, o buntowniczym patosie. W carstwie króla Borysa nie mógł przed wojną wystąpić jawnie, krył się pod pseudonimem i ciągle wojował z cenzurą. Można go nazwać poetą - hajdukiem, bo pod tą bułgarską nazwą hajduk lub hajdutin kryje się to szczególne dla słowiańskiego Południa pojęcie buntownika, partyzanta, który w okresie przemocy tureckiej nad Bułgarią brał szablę i strzelbę i zanurzał się w lasy bałkańskie, wydając Turkowi wojnę podjazdową. Łamar, nowoczesny hajduk, zamienił szablę na pióro i szarpał z ukrycia krzywdzący proletariuszy reżim własnego cara Borysa. Marzył w wierszach swoich jak Majakowski w Rosji, o „buncie przeciw carowi i bogu". I doczekał się spełnienia swych marzeń.

(Przypisek tłumacza).

ŁAMAR

Za chlebem

(GURBET)

Ten stary zajazd opuszczony
i słupy
i ściany
w ruinie!

Przychodzi z nas każdy zgarbiony,
z toporami, worami, piłami,
w izbach panuje woń pleśni...
Śpimy
i budzi nas puchacz po nocy
i dalej, dalej ruszamy
pod górę
czy w dół
w świat za oczy:

Aby spotkać południe na rozdrożach
aby wieczerzać w Dolnym Chanie,
aby pić wino
i długo czekać,
aż zorza
okapie szczyty Bałkanu.

Matko moja, lata czekasz, niebogo,
kiedy wrócą do domu żniwiarze,
kiedy zrzucą z pleców plon pod nogi:
złoto, jedwab i perłową masę.

Nad ziemią położyło się lato,
a pola są żółte i suche;
my — w proch drogi upadłe stado —
przewodnik śpiewa dla otuchy:

— Hej, lata, lata, lata płyną! —
drogman stary zbielał od siwizny,
przeminęło nam życie w obczyźnie,
dźwigać cerkwie w rumuńskich równinach,

Na ramieniu mamy torby puste,
śpiewają nasze piły z wiatrem
spotykają nas o świcie koguty
i tak mija, tak przemija lato...

Matko moja, długo czekasz, niebogo,
kiedy wrócą do domu żniwiarze,
kiedy zrzucą z pleców plon pod nogi:
złoto, jedwab i perłową masę.

Zagroda

Ruszył skądciś pradziadek —
siekiera i krowy jałowe —
ziemia nieobjęta i święta,
rok w rok — syty i głodny.

Osiedli we wsi — chat dziewięć —
siekiera i krowy jałowe —
i padła kośba ciężka,
swadźby podźwigły się nowe.

Przyroda i ród się pomnożył,
źródło w koryto wlata,
kobiety — wszystkie matki boże —
do żłobów nakładły dziatwy.

Na płoty koguty śmigły,
na jaja legły kokosze,
w kwiat jarzębiny i pigwy,
a szeptem ludzie: Daj Boże!

WOJNA

z poematu „Mirni razmirni godini" (Lata przed burzą)

Czy Ty żyjesz na niebie, Boże?...
Chłopi z manierką pełną
ruszyli w goście
ku piekłu!

Pola porosły cierniem.
Kobiety biją się w biodra
i krowy z pełnym wymieniem
ryczą o wiadra.

Baby składają przed popem
grosz na żałobną mszę,
Święty Duch im popuka
i dusze im zabierze.

Nie ma komu ryć grobu
i rzucić kadzidło na węgle,
dzieci pustą miarką od żyta
udają doboszów na bębnie.

Czy Ty żyjesz na niebie, Boże?
Chłopi z manierką pełną
ruszyli w goście
ku piekłu.

Wrócą oni, wrócą zwyrodniali,
bez miłości i bez sławy
i będą prać baby po żywocie,
w którym diabeł swój płód zostawił.

Fikcyjna rozmowa o Nędzy-Kubińcu

prowadzona przez poetę Piętaka i krytyka Lichańskiego

PIĘTAK. Skończyliśmy więc druk wyjątków z „Janosika", — trzecim fragmentem w ostatnim numerze „Wsi". Skromnie to — na utwór składający się z licznych pieśni, i już teraz dosięgający rozmiarów niemałej książki, — a gdy jeszcze dojdą pieśni niewykończone? Jest to chyba najobszerniejsze dzieło poetyckie, jakie — choć w ułamkach — przesunęło się przez karty „Wsi", i być może największa taka kompozycja, utworzona przez chłopskiego poetę. A kto wie, czy i na ogólnopolskim terenie — nie jest to utwór wierszowy, najszerszy rozmiarem, z powojennej polskiej twórczości. Przyznać trzeba, że pierwszy rok niepodległości pięknie dla nas wypadł, i to co pojawiło się na chłopskim odcinku literackim — choćby taki Pogan, czy teraz poemat Kubińca — jakże przerasta skromne osiągnięcia dawniejsze! Gdyby żył biedny Karol Koniński, dopiero miałby uciechę! Jużby nie tak skromnie wyglądała ANTOLOGIA PISARZY LUDOWYCH, byłaby antologią nie zapowiedzi, a realizacji! Przyznam Ci się, że odczuwam żywą przykrość, że „Wieś" jest ciasna, że musimy krzywdzić Kubińca i okraiwać jego pasję poetycką do paru fragmentów mieszczących się na tych wąskich szpaltach...

LICHAŃSKI. No, nie jest tak źle — trzy drukowane wyjątki dają wyobrażenie o charakterze „Janosika", a i same w sobie stanowią całość, która jest jakby streszczeniem poematu. Pierwszy fragment — opis chaty — to przykład obrazu życia codziennego chłopskiego, łączący elementy realistyczne i liryczne, drugi — uwiedzenie i śmierć Weronki, to wykładnik sentymentalnej klechdy ludowej, obok opisowego następny typowy dla Kubińca element. Wreszcie trzeci: zemsta Janosika, brata uwiedzionej, który morduje pana i podpala dwór, i tak zaczyna zbójnicką karierę — to dramatyczny element klasowego buntu chłopskiego. Tak więc trzy główne tony „Janosika": liryzm, klechda, rewolucja — odtworzone są w skrócie, w zmniejszeniu, w naszych wyjątkach, i nawet w podobnym układzie jak występują w całości utworu, — w stopniowaniu, od spokojnego opisu poetyckiego, poprzez bardziej ruchliwą opowieść o tragicznej miłości Weronki i panicza, aż do wybuchowej, najsilniejszej części. Myślę że obawa Twoja, by czytelnicy nasi nie docenili tego utworu, bo jest posiekany, — jest owszem słuszna, ale przesadzona; powiedziałbym żartem, że od czasu gdy jesteś urzędującym Prezesem Oddziału Wiejskiego, szczególnie Ci zależy na świetnych osiągnięciach „naszych" pisarzy...

PIĘTAK. Nie myślę się tego zapierać, ale z drugiej strony nie przypuszczaj, że nie dostrzegam błędów! Przyznam ci się szczerze, że „Janosika" czytałem z wysiłkiem, i zżymałem się raz po raz; niekiedy aż mnie podrywało, gdy maniera jakiej niestety Stosek Kubiniec nadużywa, stawała się zbyt natrętna — gdy myślniki, wielokropki i mające wywołać nastrój powtórzenia w rodzaju: „Stypa... stypa... stypa", gdy wszystkie tak niewspółczesne efekty stawały się zbyt dokuczliwe — zrywałem się od tej lektury, ale nie na długo! Ciągnęło mnie do poematu, przez który, mimo wszystkich, śmiesznych czasem połknięć — idzie wiew najprawdziwszej poezji... I znów zatapiałem się w nim, — na przykład te przepiękne części liryczne, dajmy na to wstęp do opisu chaty...

LICHAŃSKI. Znów popadasz z jednej krańcowości w drugą! Twoja ocena jest oceną poety, twórcy wrażliwego przede wszystkim na to, co jemu jest najbliższe. Mogłem przewidywać, że właśnie liryzm Kubińca będzie w Tobie jako w liryku dźwięczał najsilniej. Ja starałbym się znaleźć dla wyjaśnienia poezji Kubińca normy nieosobiste, objektywne, społeczne. Otóż jako zjawisko socjalne ma „Janosik" znaczenie stokroć większe, niż jako zjawisko literackie. Jakże olbrzymiego wysiłku musiał dokonać ten pogodny góral o wyblakłych oczach i pooranej twarzy, który żadnej szkoły nie skończył, by stać się — TWÓRCĄ! Przyznasz, że różnica intelektualna między przeciętnym adwokatem a jednym z owych literatów, którzy wydali mniej lub więcej udane tomy — nie jest wielka, że wysiłek potrzebny prawnikowi, inteligentowi, lekarzowi — by stać się pisarzem, byłby znacznie mniejszy, niż imponujący skok, jakiego dokonał autor „Janosika"! Gdyby nawet poemat jego nie przedstawiał wartości literackiej, to już ten jeden powód: zdumiewająca praca chłopskiego umysłu — byłby jego dostateczną legitymacją. Ale nawet rozpatrywany jako dzieło sztuki, „Janosik" Nędzy-Kubińca zaiste wstydzić się nie musi, i to dopiero jest powód naszej chluby. Mało tego — ryzykuję twierdzenie, że wnosi on nowy ton do literatury ogólnopolskiej. Myślę, że to właśnie, co wymieniasz jako główną wadę poematu — maniera, jest dowodem osobliwego sukcesu! Bo weź pod uwagę: powiadasz że Kubiniec, samouk, wychowany na przypadkowych książkach, związany z epoką literacką już odeszłą, posługuje się nieaktualnym, secesyjnym, ośmieszonym w naszych oczach stylem jakby wyspiańszczyzny... Wydawałoby się, że będzie to coś nie do zniesienia. A jednak POPRZEZ tę manierę, NAPRZEKÓR fałszywej szkole poetyckiej, pomimo nieaktualności języka straszącego dziś — dzieło to przemawia głosem autentycznej, konsekwentnej, wytrzymanej na przestrzeni setek stronic — POEZJI. Jak zdrowy instynkt twórczy musiał mieć ten chłop, że CHŁOPSKĄ RZECZOWOŚĆ, CHŁOPSKĄ KONKRETNOŚĆ potrafił wyrazić językiem, który się do tego nie nadawał, językiem obcym, przypadkowym, takim jakiego się był w stanie nauczyć! Kubiniec uratował ten styl, nadał mu NOWEJ WARTOŚCI!

PIĘTAK. W tej ocenie zgadzam się z tobą najzupełniej, i jestem zdania, że wielki poemat chłopski, jakim jest „Janosik", powinien być jedną z pierwszych pozycji wydanych nakładem Oddziału Wiejskiego.

Spisał: Z. KAŁUŻYŃSKI

MIECZYSŁAW CZCIBOR-CHOŁEWA

Jak Józek Wołoscyk ugwarzował z Pane Jezuse

Stanoł roz Józek Wołoscyk, – Kulescykiem zwany, – wedle kąplicki co przy drodze z gór idencej stała i dumo se nad syćkim. A ze honorny chłop beł, tak z góry ku Panu Jezusowi gwarzy:

– Tyś to jes tym Boge co to Jegomość telo razy z tego pienterka gwarzy, żeś straśnie dobry i cejco o Tobie spomino? He?

– No?

– Godos?

Podepar sie honornie na losce i hyrnie wzniósł tworz ku Panu Jezusowi:

– Gwarzem do Tobie po dobroci, ozluzuj gambe. Ku mnie możes godać śmiało, bo jo jus wej stary, starsyk od ciebie, – młodzioku. Bez mała zyjem trzy razy telo co ty, jo cie nie zdradzem i na pokusenie nie naprowadzem! Tyś to Boge?

– No, godoj, przecie nifto nie stoji przy nos. No obeźryj ze sie jak nie wierzys!

A ze to beł Pon Jezusicek Frasobliwy, tak o mało sie nie osplakoł nad tą Wołoscykową gwarą. Hej!

Patrzy Józek lepsi ku oportyj na rencak twarzi i zlutowoł sie strasecnie jako ze niby zol mu sie zrobieło tego Jezusowego spoźrenio.

– Panie Jezu, cy tyś wse taki jakeś jes haw? Straśnieś bidny widać, bo cie telo chudobnie ftoś wyrzezoł ze strak. Moześ i głodny i nimos nijakie przyodziwy. He?

Podumoł kwilecke i tak ku Panu Jezusowi sie ozwoł:

– Wjis Ty co? – Jak cie hań w tym niebie głodzom to mozebyś sie jako wyrwoł od Ojca i tego Świantego Duka i kie niękie cichcem ku moi chałupie przysed? Śmiało Cie sprosom, wyrtnij sie z tantela. Dołbyk Ci moskolicków kielom byś ino doł rady i syra mocki i oscypka i coby ta beło, – a baba by ci mlika nawarzyła. Nicego byk Ci nie poskompieł ani nie załowoł. Haj! Jino przyjdź a obocys!

A ze mu wselenijakie myśli bez głowe przechodziełv tak se siod na wancie na prociew kaplicki i dumo:

– Moze i zimno Ci wej jes w hańtym niebie? – boś sie przes nijakie przyodziwy hań z ziemi odlisył.

Dumo se tak jaz cosi przysło mu do głowy:

– Aha! Jes! – godo – jus wiem!

– Nie inacy jeno tak beło – poceno mu cosi świtać.

– Nie dali Ci do grobu portek – a teroz to juz ozumie – bajto jino Cie w płachte okręcili. A tak to wej, bez to nimos wej portek!

– E, wjis, co Ci powiem, to Ci powiem bjidnyś ty. Hej! Prowde jegomość godali ześ z bjidnego stanu, ale wjis ty co? Nie gardze jo tobom, nie gardź ty mną. Przyjdź, sumiennie nagodze cie jodłem a przy hańtym dom ci jesce portki moje. Stare one niby som, ale przecie nifto cie nie bedzie opatrowoł w nik. Cyfry jesce znać a dziury to moja baba ponadstawio. Na ziemi nie bees, ba w niebie a te janioły to moze i nie widziały portek góralskik to ta bedom myślały, ze tak ci pasuje po niebie chodzić. Bees mioł chodzenie na dwa roki, a jak bees uwazuwoł nie chodzić po ścirniak cy po grapak i maliniokak to bezmała na trzy. Ty ta zreśtą takima pyrciami nie chadzas. Neale przydała by ci sie jesce jako gunia. I to bedzie Mo baba zapartom w krzyni pieknom gunie, wysywanom do cudu. Jes ona po nieboscyku oćcu, ale na ciebie bedzie jak uloł. Hej! A ści bedzie. Ale kie ci jom dom to mi sie musis zasumietować, ze jeno przy świencie bees sie w nij paradziuł i cobyś jom sanowoł, bo to starodawny zwyk, haj. Tak mi ociec przykazowoł kie dusa jego z hawtela sła ku insemu światu, tak tys i jo ci przykazuje. Bees se jom nosieł od świenta. Ej, wjis, przez grzychu, jak cie świento Cecylyjo obocy to się ozmiłuje w tobie na zabój. Hej! Ej, cudowali by sie syćka, świente i jenioły. Ej! Ale jesce byk ci cosi doł coby włosnie ci pasowało i na wielgom władze skazowało, jeno bojem sie coby ci Pon Bóg cyli Twój Ociec nie wzion, hej.

– Moze i wjis co to?

Wyciongnon z tajemnicym uśmjichem mosiężną fajecke z portek i renke ku kaplicce śniom podniós,

– Piekno, co? – Straśnie by ku Tobie sie nadawała – jino hańten Ociec On mi wej po sumieniu chodzi, pewnikiem by Ci jom wzion, bo On rod pokurzuje, ale dom Ci na to rade:

Bocys, jakoto wse ludziska godajom „Panu Bogu wierz, jino mu barz nie ufoj". Takos samo i Ty, z Pane Boge niby z Twoim Oćcem pieknie godoj, syćko przykwoluj i na syćko przykiwnij, ale fajecke strzyc jak oka w głowie, bo pewnikiem by sie Oćcu udała, bo przecie po prowdzie rzec do cudu jes.

A mozeby Ci zbronieł fajcyć? He? Ześto niby jesce młodziok? Co? Przecie Ci nimoze zaprzycać, bo swoje roki na hawto mos, haj. Jus ta i mnie nie jeden kcioł jom skaś.. Hej! A Ty sie ta nie pogniwoj, ze takie gwary prawie do Tobie, ale wjis ze jo bezmała trzy razy telo zyjem, to ta kończuś lepsi wiem jako co na świecie i jakoto nowięksi umiom przykrodać. Hej! Doświadcenie w te maści mom niezgorse. Tyś bjidny wej jes, to ta niwdy nifto Ci za zycio nie robieł na despet, to ta wierzys w sprawiedliwość, ale jo końduś od Cie bogatsy, to ta wse cosi kajsi mi niejeden cichcem ukradnie. To tys co sie tycy fajecki, to Ci przykazuje cobyś jom strzyg, bo ta niejeden na niom w niebie chrapke bee mioł. Bo, ta mimo Oćca jesce świanty Pieter, Poweł, cy jesce insy tys pokurzuje, haj!

A kieby Ci sie trafunke pytali skond ześ jom wzion, to sie nie zapiroj, ba powidz, ze Ci jom doł Józek Wołoscyk, ftorego nazywają Kulescyk, a ftory misko na Dziołnyk Obłazak w górak.. Ale drógi to ta im nie wskazuj boby hurmom syćka po fajecki sie zleciały. Hej! A Pon Bóg i Pieter Paweł to mozeby po kiełka lo sobie janiołów przyswali.. Haj! A przecie tako fajecka pienć dutków dzisiejsyk wortności mo.

Uśmiechnął sie Józek ze swojego wydumanio. Podseł ku kaplicce i sprzymierzowoł fajecke ku tworzy Panjezusowej.

– Pieknie Ci bedzie, do cudu, jak cysorz, haj.

Śmioł sie przy tym, ciesył, a honor teli w sobie mioł co nigda. Bo se dumoł ze to niby on, Józek Wołoscyk fajke Panu Jezusowi daje.. I do tego jesce telo paradnom co jaze sie śkliła do słonecka raniejsego. Starśnie beł rod.

– Bee Ci straśnie pasowało, a ści bedzie.. Tak wej widzis, nie na dziada trafiułeś jacy na gazde. Syćko dom co Ci potrza.

Zwysył ocy, poziro ku Panu Jezusowi i obocył ze on boso.

– O, skoranie boskie, to Cie Tak wej wyryktowali, ze przez kierpcy chodzis? Jezusicku ostomilsy, tak Cie wej poniewierajom? To i kierpcy bees potrzebowoł! Ale w tym sęk, bo kyrpiec nimom, ba, jino te co na nogak. To tyz tyk Ci nie dom, bo w cymze byk chodzieł? Ty ta sie mi widze nie napiros neale widze ze Ci trza. Niby som jes stare kyrpce na sopie, co ik Jagna prasła, neale musioł byś mocki smat na nogi dać, bo dziury som, to by Cie moze i obmierzło. Haj! – Ale wjis Panie Jezu, zróbmy układ a odżałujem i sprawiem Ci kyrpce nowe. Bo Ci zaroz wyonace syćko jako beło, co jes, i bez co jo haw do Tobie przysed: poselek se dziśka do kościoła jako ze zwycajnie przy świencie. Siedzem se tak, pozirom jak ta Twój pachołek, niby ksiądz godo, stobom, niby tak akurat jako jo do Tobie, jino nic a nic nie ozumiołek, bo on tak gwarzył coby my wsiowi nic nie wiedzieli co i jak stobom ukwaluje, moze i przeciw nom. A moze. Tak wej! Pewnikiem przeciw nom do Tobie gwarzył, bo kie wyseł na pięterko, jak sie nie ospajedzieł na nase dziewki i chodoków ze to niby po sopak razem ze sobą sypiajom i omało po nazwisku nie skazywoł, hej! Tak Ci mie to wej ozniesło, ze kie nie stane, kie nie chyce za ciupage i ku jegomościowi nie wrzasne – „A cy jo jogomościa nie widzioł? He? Cy to jegomościowi wolno? Co?". Niezdoliłek dokońcyć, bo sie rumot w kościele zrobieł. Jedni na mnie poceni wrzesceć, ze poniewierom świentom osobom, insi zaś przeciw ksiendzu, ze nibyk mu prowde świentom przepedzioł. Haj!

Ale jegomość pocon w te kwile o Tobie gwarzyć Panie Jezu, ześ syćkim odpuscoł grzychy, i godoł ze grzychym jes wygadować i publikować jesce do tego w kościele cudze grzychy. Jesce ta cosi fafrol przeciw mnie ale jo jus nie słysoł, ba, wstałek z ławki i wysełek. Pod dźwierzami stanołek i ku jegomościowi z całe siely krzyknonek: „Czyli fto mo wienksy grzych cy jo jeno jednygo grzychy publikuje, cy jegomość co grzychy syćkik chodoków i dzióp ze wsi wygaduje? A moze ta nikogo i nigdy nie znaseł. Hej! Chocia by zreśtą naseł na kogo, to poco on by po sopak chodzieł? Ści nie po co insygo jino za dziopami. Przeciek go znaseł! Haj! Ej, wiera, jak sie jegomość ozeźlił wtej jak nie pocnie kunierować i zemstować mie i jesce Tobie Panie Jezu wołoł cobyś mie pokoroł, w piekło rzucił a haw cobyk nogi połomoł. Jo sie ino cześmiołek bo przecie wiem ześ ta przecie nie telo zły co on gwarzy, a jeśce kie Cie obdarujem to ta jesce jego ofuknies. Więc tak wej przepedziołek, ale juz z pola: „Sowoj ze se ty wej tego Jezusicka do torebecki i noś wse przy sobie, cobyś nie beł taki ozluzowany ku naskim dziewkom, haj. A jo se wolem oscypka i moskolicka do torbecki sować". Hej!

Słysołek ze ta jesce mocki krzycoł przeciw mnie i barz ziebzieł sie ale jo już za cmentorzem na dródze belem wienc nic nie pedziołek, ba ide i dumom se tak nad syćkim, jaze przysełek haw ku kaplicce, do Tobie, i lutujem się ze takigo przekornygo sługe mos i skarżem się do Tobie.

– Skoranie boskie z tym nasym jegomościem. Przecie ta i jo nie przez grzychu neale jegomość za duzo na insyk godo, haj. Chocia jo to za nijaki grzych nimom te wselenijakie łubości, boś ta przecie Ty hańte stworzeł! To tyz co za grzych kie ześ ty tyma łubościami obdarzeł syćkik? Nijaki! Jak ześ Ty Pane Boge, toś syćko Ty stworzeł, bajto, nawet grzychy. Hej! To tyz pewnikiem rod z nieba poziroz kie jako dziwka miłuje chłopca, kań na kosarze przy owcach, cy w kolibie, cy ta keń na ubocy. Hej! Wsej! Pewnikiem ze hej! A ści! Rod poziroz!

– To tyz skrudź tygo dzisiejsego kazanio zróbmy układ: ze Ty precki przezenies z hawtela jegomościa a jo Ci za to tyk portek, guni i fajecki dodom jesce przez zapłaty kyrpce i nowiućki kapelus z łańcuske i pas zbójnicki po dziadku, i spinecke starodawnom. Hej! No? Dobrze. Wystarczy Ci, czy nie? Nimos przecie nic wielo to lo Tobie powinno wystarcyć haj! Zreśtom mioł byś se krzydować to Ci na przycynek dom jesce i ciupagę. Neale teros w tym syćkim to byś już naprowde wyglondoł jako cysorze chodzajom. Som jeden między świentyma. Wjis Ty pieknie by Ci beło. Kie jesce bees mioł jasności janielskie na sobie to juz na iment bees wielgi prym w niebie wodzieł!

He! I Ociec i Duk Świanty i Pieter Pawel i ci insi straśnie bedom ku Tobie bocyli – (przysuneł się blizy i cichcem zagworzył): a juz ta Cecylijo to już jak jamen w poci zu bedzie się ku Tobie miała, haj! A i Magdalena się moze do cna w Tobie ozmilować i jesce bee sie wprosała do Tobie. Hej! Przez grzychu!

A Ty se jeno bees po niebie chodzieł, drzywka opatrowoł i syćko doglondował. na niesfornyk bees mioł ciupage a równym sobie fajecke pod nos bees podstawioł, coby im zol beło ze nimajom. Hej! Cyknon bez zembiska bagą wyciongnon kapciuch z torbecki, wyjon śniego scypte tytoniu, wymiendlił go w rękak, popluł co by się lepsi fajcyło, wetkał w fajke – zakrzesał i przykurzył.

I zaś zacon wydumywać o Panu Jezusie, o jego bjidzie i o tym dzisiejsym zdarzyniu.

– Jo Cie ta jesce nie widzioł, cobyś kie sloz z hańtela i chodzieł po ziemi. Nie dziwiem się tyz, boś przez przyodzienio jes. Ale tera, kie cie obdaruje, to i do kościoła pudzies i obocys ze mom rekt. I po górak sie przeńdzies, coby Ci sie nogi osprostowały z tygo wiecnygo cupienio w ty kaplicce.

– Dyć to prowdziwy hareść. – Jo by nijake świate nie wytrwoł. Mos tyz nie zwycajnom wolom. Prowdziwie to jegomość pado. Jino to publikowanie mi się u niygo nie widzi, skoro i jo go capnon i o mało nie wybieł – ze to niby duchowno osoba – do dziewki sie nie przyzeni – bo i nimoze, – a cyni.

– To tys pytom Cie Panie Jezu, cobyś tygo jegomościa przezenon precki stela.

Na piykne fajcyna pocena się dymić w gebie gazdowskiej. Trocha to ońcieło siwygo Kulescyka. Tak ci zbocył ze jino on ku Panu Jezusowi gwarzy a Pan Jezus ku niemu nic, jakoby go mion za nissego sobie. Zgniwało to starygo i wie gwary pocyno prawić:

– Jak ześ wej Paneboge, to zrób mi cok Ci wyonaceł, a jak ześ nie jes, to chybaj stela, bo inacy Cie som prec przezene, – bajako, – przezene.

Zreśtom odstąpieło go złe i zaś po dobroci prawi:

– Nie pytom Cie Panie Jezu ani o niebo, ani o piekło, ani o cyściec, ani o odpuscenie grzychów, ba jeno cobyś prec przezenon hańtygo huncfota, co dziewki lubi a u nik telo zła widzi.

Obeźroł się Józek a tu ci juz walnie luda z kościoła ku osiedlom sło. Końduś sie ta i opamientoł a i zewstydzieł i wartko coby go nifto nie doźroł za kaplickom przycupneł. Uciekać już nimioł ka. Idą ludziska welo kaplicki a telo ugwarzują co nigda. A syćko skruć tego kulescykowego odgrozanio w kościele.

Stary Pęksa z babom się prawuje i o mało sie już nie bijom:

– Cicho ze byś beł juz stary, ty ozluzowano kufo, ty hyclu, ty... za cłekem bees obstowoł, a za świentom osobom ni? Juz to jo ci doma kufe ozbije, ty ozwolnione ścirwo.

– Nie wrzesc telo, – rzecê Pęksa, – Józek mion recht.

– Juz ta moześ i pił śnim, ze za nim trzymiesz, ty psiawiaro jadowito!

– Widzem, – pado Pęksa, – ześ i ty reifurko odwiedzała plebanie.

– Do tobie o tym nie gwarzem. – Coz ty moze zbronioł mi bees do świentyj osoby przyjś, ty lucyferze, połciu, zwyrtacu...

Baba sie telo napajedziła ze i zemby jij wysły na wirch przedo kufe i sceko ku chłopu a dojado jako nieprzymierzający pies na cygana.

Ozgniwało to juz i chłopa i jak sie nie siepnie i nie skocy z cjupagom ku babie:

– Zaprzyj ze jus roz pysk ty sekutnico świńsko! – tak ci baba jaz przysiadła na zadku bojęca i jacy niemiło woń dosła jaz do Wołoscyka.

– W imie Ojca i Syna, – pado Józek k sobie, – cos to rwetesu między ludziami narobiełek. A syćko skruć tygo psiawiare jegomościa. Toz to skuć mie ino babe by na śmierzć ozrąboł, kieby dali gwarzyła k niemu.

Wreście ci prześli.

Idą zaś same baby i niewiedzom co juz prociew Józka gwarzyć:

– A to niedowiarek.

– Na świentyk rzecak by se zemby ostrzył.

– Powinna mu baba ślipia wypalić.

– Nie trza baby same my mu to mozemy zrobić.

– Przecie ksiądz pedzioł, ze święto ziemia nie powinna takiego nosić.

– Ej, dom tyz jo swoji Marcie, bo ta na niom jegomość poziroł, kie o zwyrtacce prawieł.

– Ciewy! Moze być on jino na grzysnyk poziroł. Pewnikiem moja Jewka z wasym Jaśkiem spała, kumo. Bo ta on ku ni podchodzi. Jus byk na wos nie poźrała.

– Co zaś prawicie. A cóz wy mocie do mojego Jaśka? Przeciek jo go wychowała do Boga, do ludzi. Jeno bez tyk gwhr!

Poceny się pomalućkú kumoterki swarzyć. Ta o Jagne, ta znów o Kasie, a ta o Jadwisie. Inse zaś broniely swoik synów.

Telo sie zeźliły, ze i kozdo co na ftorom wiedziała to prawiła.

– A tyś to nie spała przedwceśnie?

– A ciebiem to niewidziałak roz z nieboscykiem księdzem.

– Żecywiście, – pado jedna światlejso, – mioł recht Józek. Pilnowały byście se dziopy.

– Do rzyci z Józkem, a od świentyk osób wara. Cok robieła, tak robieła, alek dziecka z cyganem nimiała i ku chałupie niwdy nic nie przyniesłak. A ty?

Józkowi jaz włosy stawały na głowie a całuśkie ciało jaz wilgło. Twarz cało w rosie mioł.

– Co tys skruć mie i tego jegomościa na świecie sie dzieje? – dumoł. Pote sły wedle kaplicki chopcy i dziwcenta.

Te tys sobie docinały:

(Dalszy ciąg na str. 7-mej)

Jak Józek Wołoscyk ugwarzował z Pane Jezuse

(Dokończenie ze str. 6-tej)

— To pewnikiem do tobie gwarzył?
— Ści, a na tobie nie poziroł?

A i chodoki kleni k sobie, ze teroz to nie bee sie im dało ku dziopom ślebodnie podchodzić. Syćka zle byli, chocia ciesyli sie, ze wreście mioł fto jegomościowi wyrypać.

Starzy, co wse przy karcmie po kościele musieli odstać, tys wracajonc na ustak mieli całe zdarzynie.

— Wreście mu jeden przepedzioł.

Cos on telo gwarzy o cudzym a nase dziewki niby to uświenco.

— Napił byk sie i Józkiem ze telo śmia łości mioł.

— Ale by go i tak tera zabiły, kieby ku kościołowi przyseł,

— Przecie jegomość klątwe rzucieł.

— No niby tak.

Przeżegnoł sie Józek jesce roz, posiedzioł jesce kwilusie i jak już syćka prześli mimo kaplicki, wcisnął kapelus na usy, przepedzioł jesce cichućko ku Panu Jezusowi.

— Ostańże z Boge, a zrób cok Ci podzioł, bo inacy to Cie stela wyrzucem, kościół Ci spolem a ksiendza zarombiem.

I rusył ku graniom. Hań cuł jeno sprawiedliwość. Hań beła jego śleboda. Seł uzalić sie juz nie ludziom ani Panu Bogu jino drzewom, skałom i potokom.

Po drodze jeno bąkoł bez zemby:

— Ka jes wej Bosko Miełość i ka ludzko sprawiedliwoś?

E. MARZEC

Strony świata

Kołujecie, myśli rozleciałe,
pokoleń ludzkich zaorane bruzdy!
...konie strudzone potem zapachniały,
poprawiając wędzidłami uzdy.

Ubrany w niebo, ryje globus zaprzęg.
Lasy i czasy chwieją się, a trwają.
Szukam stron świata. Niepotrzebnie patrzę,
skorom się orać myślom moim najął.

Zatrzymajcie się, wrony, nim przyjdzie milczenie.
Zostańcie nieco dłużej zalękłe zające
...ale odeszły i pustka znów drzemie:
parskają konie, motyl dźwiga tęczę.

Głodni bogowie wydrążyli studnie,
a anioł z kielnią w chmurach ugrzązł.
Do drogi idąc: mam południe.
Wierzbowa łąka: tam jest północ.

LUDWIK BROŻEK

Z POGRANICZA

CZEGO CHCĄ CZESI?

„Slezky odboj" z przewódcą Vochalą, godnym zastępcą Bezruča, nawołuje:

„Czeski Śląsk, złożony z ziemi cieszyńskiej, opawskiej, hulczyńskiej, trzech politycznych okręgów szerszego Ostrawska, Kładzka i północnych Podkarkonoszy ma dla naszego planu tworzyć jedną ziemię, któraby sąsiadowała z Łużycami, Czechami, Morawą i Słowaczyzną"...

„Czeski Śląsk (po co to „czeski"?!) musi być ziemią w każdym względzie samowystarczalną, o własnej autonomii a czechosłowackiej orientacji, od Czechosłowacji nieodłączną a czeskimi ideami, oświatą i duchem trwale nasycaną".

„Żądamy rychłego przesunięcia granicy między Olzę i Wisłę, przede wszystkim za szkody, wyrządzone nam przez rząd polski w czasie monachijskiej ugody, kiedy nam Polska przemocą zajęła część nadolziańskiego Śląska (od Bogumina przez Cieszyn po Jabłonków), którego się nikt i nigdy nie zrzeknie".

Oto parę cytatów z Vochalowej broszury: „Pro nové České Slezko". Wywody te akceptuje poza chmarą nadskakujących politycznych „wrzaszczków" sam wicemin. Fierlinger, prez. Benesz, „narodowy" poeta Bezruč i wielu innych.

Ale trzymajmy się i my zasady, że **prawda zwycięży.** Nie będziemy sięgali jednak według historycznych danych (ulubiony konik czeskich polemistów) po Pragę, zawojowaną przed niespełna tysiącleciem przez Bolesława Chrobrego

Swoje prawa do Śląska opiera Vochala i na podstawie kulturalnego wkładu Ślązaków do ogólnoczeskiej kultury. Niestety pośród wielu nazwisk wymienia tylko jedno śląskie: Trzanowskiego. A więc nie tylko Niemcy ukradli nam Kopernika! Czesi zrobili to samo z Trzanowskim. (Sprawy tej wyświetlać nie pora. Niech sobie p. Vochala przeczyta wyczerpującą monografię słowacką o narodowości Trzanowskiego). Niedługo może Włosi przywłaszczą sobie naszego historyka Długosza czy poetę Janickiego bo pisali po łacinie.

Z JEDNEJ WSI NADOLZIAŃSKIEJ...

Z jednej wsi nadolziańskiej, Końskiej przy Trzyńcu, podam parę nazwisk na przestrzeni 50—70 lat, aby przekonać czytelników, jak głęboko tkwi tutaj lud „czeski" (albo „morawski" jak chce tego Vochala) korzeniami swymi i ile zyskała na tym czeska kultura.

Najwięcej rekrutowało się z Końskiej nauczycieli i księży, nadto paru wyższych dygnitarzy w służbie państwowej. I tak: Paweł Kajzar (1809—1865), syn miejscowego, nauczyciela był prof. języka polskiego w gimnazjum cieszyńskim; on też zaczął wydawać w języku polskim „Nowiny dla ludu wiejskiego" (1848) o frankfurckim nachyleniu oraz wydał część agresywnej „Historyi kościelnej wiary ewang. w księstwie Cieszyńskim".

Synem nauczyciela Końszczańskiego był też Jan Liberda, kierownik szkoły w Goleszowie: wspomina go dr Andrzej Cińciała jako jednego z pierwszych uświadomionych Polaków na Śląsku.

Najwięcej jednak rozgłosu i sławy zyskała sobie Końska dzięki swemu patriarchalnemu poecie — Janowi Kubiszowi, autorowi hymnu śląskiego: „Płyniesz Olzo", mieszczącemu się w zbiorze wierszy epiczno-lirycznych „Z niwy śląskiej". Napisał też pod koniec życia cenny, o walorach dokumentu historycznego „Pamiętnik starego nauczyciela". Duchowymi jego dziedzicami są: dr Jan Kubisz, dyrektor śląskiego szpitala krajowego w Cieszynie, ks. Karol Bronisław Kubisz, pastor od r. 1932, pracujący kolejno w Krakowie, Katowicach i Lwowie (do dziś), oraz trzeci Andrzej, redaktor jedynej polskiej gazety na Zaolziu.

Jeśli mowa o Kubiszach, to kończczaninem jest obecny regionalista a laureat nagrody literackiej, Paweł Kubisz, autor bojowego „Przednówka", będącego na indeksie czeskim.

Jeszcze dwie rodziny są rozpowszechnione w Końskiej: Buzków i Wojnarów.

Buzkowie, którzy przyszli do Końskiej z sąsiednich Nieborów w r. 1802, mają w swym rodzie ks. Jerzego Buzka (1723—1763), początkowo nauczyciela w domu majora Chrząstowskiego w Polsce. Po pierwszym kazaniu polskim w Tarnowskich Górach zostaje ordynowany i przyjmuje posadę w Szyrwałcie (Dolny Śląsk). Z tej linii pochodzi też obecny ks. Andrzej Buzek, były polski pastor we Frydku nad Ostrawicą, długoletni ks. profesor i kapelan wojskowy w Cieszynie. — Bratem jego był dr Józef Buzek (1874 — 1936), który imię polskie rozsławił daleko i szeroko poza jej granicami dzięki gruntownej i wszechstronnej wiedzy. Był długoletnim prof. uniw. lwowskiego (do r. 1918), równocześnie posłując do parlamentu austriackiego, potem do sejmu polskiego jako współtwórca Konstytucji; jako dyrektor Głównego Urzędu Statystycznego posłował do senatu i był wiceministrem. Wielki rozgłos zjednała mu książka „Historia polityki narodowościowej rządu pruskiego wobec Polaków". — Brat jego, inż. Jerzy Buzek był dyrektorem huty „Węgierska Górka"; za pracę naukową w zakresie odlewniczym został mianowany prof. akademii hutniczej w Krakowie i odznaczony krzyżem Polonia Restituta. — Ostatni z braci, Karol Buzek, wybitny działacz Tow. Rolniczego na Śląsku, pozostał na ojcowiźnie. przetrwał wojnę i okupacyjne rządy, a za piastowaną pod koniec godność wójtowania, przypłacił drogo. Ale trwa.

O braciach Wojnarach z Podlesia (część Końskiej) istną robinsonadę dałoby się napisać. Było ich siedmiu, synów **tkacza.** Najstarszy Jan Wojnar, marynarz a później maszynista na kolei austriackiej, zawędrował do Turcji i tam się ożenił. Ponieważ nie przeszedł na wiarę mahometańską, zwolniono go z długoletniej posady. Nie zaparł się dla jej uzyskania ani wiary swego ojca, ani narodowości. Do końca życia (umarł w r. 1935) nie zerwał łączności ze swą ziemią ojczystą, pisząc często do miejscowej prasy „Listy ewangelickie z Turcji".—W tym samym roku zmarł Adam Wojnar, kapitan wojsk polskich w Krakowie. Najmłodszy Karol był ekonomem w Slawonii; padł na froncie w czasie wojny światowej. Pozostał przy życiu tylko Andrzej, inżynier w Opawie, ale i tego zapewne obecna wojna zmiotła. — Na tym przykładzie widzimy, jak bracia jednej rodziny rozpraszali się po Europie, ale nie zaparli się ani wiary, ani języka swego. Kapitanowi Adamowi ofiarowywano dobre stanowisko w armii czeskiej, a jednak wstąpił do wojska polskiego. Zmarły w Boguminie Józef Wojnar krótko przed śmiercią wręczył znaczniejszą kwotę ks. Badurze z prośbą, aby utrzymały się polskie nabożeństwa w tym granicznym zborze. Piękny zaiste przykład!

Ale nie tylko bracia Wojnarowie zaskarbili sobie przyjaźń i szacunek wśród obcych. Przykładów takich mamy jeszcze wiele. Oto hutnik trzyniecki Paweł Koziołek wyjeżdża w r. 1899 do Ameryki, tam kończy studia teologiczne i zostaje pastorem wśród tamtejszych emigrantów-Polaków w Cleveland i Detroit. Przychodzi im z wydatną pomocą przez „Zbiór pieśni nabożnych", który to kancjonał przygotował i wydał przy pomocy rodaka, ks. Foxa z Kojkowic.

Inny kończczanin, Wyrdacz był sztabowym lekarzem w rmii austriackiej. Syn jego Gustaw dobił się teki ministra wojny w Albanii w 1937 r. Odtąd ślad o nim zaginął.

Brak też jakichkolwiek wiadomości o Józefie Turoniu, który jako samouk zdał egzamin uniwersytecki w Kijowie po r. 1930 i wykładał na tamtejszym instytucie naukowym.

„POLAK NA OBCZYŹNIE PASIE TYLKO ŚWINIE"...???

Tych kilkanaście nazwisk świadczy wymownie o **rodzimej inteligencji naszej,** z ludu wyszłej, jak ona zdobywa sobie poczesne stanowisko wśród społeczeństwa polskiego i nie zapiera się języka czy narodowości w szerszym świecie. Niech strona przeciwna butnie wykrzykuje o swoich prawach historycznych, gospodarczych czy kulturalnych. Jakież jej owoce na naszym terenie? Czy jest tu chociażby jeden rodzimy Czech, coby mógł stanąć bez rumieńca obok któregoś z wymienionych? I to nie tylko Końska, ale każda wieś na Zaolziu jest taką twierdzą polskości. Każda wieś, czy to Olbrachcice albo Stonawa, czy Bystrzyca albo Piosek, czy Dałynie albo Żywocice, każda z nich ma swoich mężów chorągwianych, z których przekonań chlubić się zawsze może. Nasi bracia Czesi zdają się tego nie widzieć. Bo jakże tłumaczyć sobie oświadczenie Bezruča, który z niegodną ziadliwością napada Polaków w słowach: „Każdy narodowiec musi uznać, że Polak jest marnotrawnym a straconym synem słowiańskiej rodziny, który na obczyźnie pasie tylko świnie i żywi się z nimi z tego samego koryta. Taki Polak nie wróci do swoich, póki go obcy zupełnie („na capan") nie zniszczą". Ale... prawda zwycięży!

„Za nami zostały jęk, klątwa i ćma
I wiosny uroda — gołe skiby w mgłach
Przed nami kulhącko los skąpy i chłód.
Miażdżący cep czasu, depszący nas ból.
— Polska przyjdzie — musi być!
Idzie z sinej dalekości.
— Prowde mówi, no dyć, dyć —
Chodnik w wolność sie już prości".

(z „Przednówka" Pawła Kubisza)

Dyskusja: kto jest chłopem?

„Z ziemią związany..."

Po głosach ludzi starszych w dyskusji — Dopokąd chłopem? — dajemy dziś w numerze wypowiedź przedstawiciela pokolenia najmłodszego. W liście, który później zacytujemy, dyskutant nasz ujawnia, że jest inteligentem, nie ujawnia natomiast, czy pochodzi ze wsi.

Głos jego jest żarliwy, ale nie zawsze słuszny. Ob. Leszczyńskiego urzeka mit „chłopa absolutnego", którego nie jest w stanie zmienić i największe przeobrażenie świata. Człowiek — chłop w ramach przyrody, z nią w walce i współdziałaniu jest tylko dla niego chłopem.

Stanowisko to tradycyjne każe oczywiście zwalczać Leszczyńskiemu wszystkie odmiany chłopa nie rolnika, nie gospodarza. Czyni to z pasją, ale błądzi.

Bardziej znamiennym dla autora tego artykuliku jest jego list namiętny, liryczny, świadczący o silnym życiu wewnętrznym i chęci kształcenia się, chęci pracy w swoim przyszłym zawodzie, w literaturze.

Przypomniało mi się tu wielu bohaterów powieści, ludzi utalentowanych, których łamało życie kołtuńskie i bezwzględne prowincji, przypomniała mi się i nielekka młodość wielu wybitnych naszych literatów chłopskich.

Posłuchajcie tych słów szarpiących...

***

„Chodziłoby mi o nawiązanie pełnego kontaktu z ludźmi, dla których zainteresowania literackie, organizowanie życia kulturalnego wsi i w ogóle sprawy związane z literaturą i kulturą grają rolę w życiu. Jestem w tego rodzaju położeniu, że pod tym względem muszę wystarczyć sam sobie. Ta samotność w wyżej wymienionych zainteresowaniach cokolwiek mi już ciąży. Ten zupełny brak styczności z ludźmi o jakichś ambicjach kulturalnych sprawia, że zaczynam ich powpli uważać za jakieś twory fantazji. Ponieważ z wielu względów nie mogłem podjąć studiów na uniwersytecie krakowskim, przeto jako człowiek o zainteresowaniach literackich i pewnej energii umysłowej, skazany jestem na żywot suchotniczy".

***

Ob. Leszczyński, ślemy Wam pozdrowienie. Prosimy napisać ściślej z jakich okolic pochodzicie i co piszecie? Jeśli Wasze prace są na pewnym poziomie, wciągnęlibyśmy Was na kandydata do Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich.

***

Autorka artykuliku dyskusyjnego „Dopokąd chłopem" M. Barchanowska określa jako chłopa człowieka mieszkającego na wsi, posiadającego gospodarstwo, uprawiającego ziemię, mogącego używać stroju ludowego, mówiącego gwarą i, co u autorki zasługuje na specjalne podkreślenie, odpowiednio ciemnego. Nie posiadanie gospodarstwa, uprawa roli własnymi rękami, ziemia jako podstawa bytu materialnego, jako jedyne źródło dochodów, nie związanie i zależność od przyrody na skutek pracy na roli, ale ciemnota, po części z tym związane używanie gwary i stroju ludowego, to są najistotniejsze cechy chłopa decydujące o jego „chłopskości". Niewątpliwie one także. Ale to są cechy najmniej istotne dla problemu chłopskości. O chłopskości decyduje według mnie pewien typ pracy i uwarunkowany nim światopogląd i stosunek do przyrody. A więc nie krakowska kierezyja, nie mazurzenie i nie tak nieodstępna od chłopa ciemnota. Te cechy jakkolwiek dziś jeszcze dla chłopa charakterystyczne najprawdopodobniej w przyszłości (odległej jeszcze coprawda) zaginą, ale człowiek posiadający gospodarstwo, uprawiający ziemię, z ziemią związany i od ziemi zależny chłopem zostanie bo decydować będzie jego odmienny typ patrzenia na świat i życie.

W drugiej części, w jakimś napływie optymizmu, niemal wiary w cuda jawią się autorce wsie — utopie, wskrzeszone szklane wsie Żeromskiego, wsie wyposażone we wszystko co przed energią atomową pojawiło się na ziemi. Nie chodzi mi już o kwestionowanie tej fantazj, chodziłoby mi o odpowiedź czy chłop — inżynier, lekarz, kierownik świetlic i spółdzielni, wykonując swoje zawody będzie jeszcze chłopem. Odpowiedź na to pytanie mogłaby nam dać obserwacja inżynierów, techników, lekarzy itd. pochodzenia chłopskiego, bo o takich tu przecież chodzi. Czy ich możemy nazwać chłopami? Czy tych ludzi, którzy pobierają wykształcenie, spędzili kilkanaście lat w środowisku miejskim, których kontakty ze wsią z konieczności były słabe a po zdobyciu stanowiska zwykle się urywały, dla których często świadomość chłopskiego pochodzenia była rzeczą przykrą i wstydliwą, czy tych ludzi można jeszcze określać mianem chłopa? A gdyby nawet ze wsią utrzymywali żywe kontakty, gdyby życie wiejskie i człowiek wiejski byli dla nich przedmiotem szczerej trosk i opieki — to czy to ma właśnie świadczyć o „chłopskości" tego miejskiego inteligenta związanego przede wszystkim z fabryką, hutą czy praktyką lekarską.

Przypuśćmy jednak, że w wyposażonej we wszystkie osiągnięcia kultury technicznej wsi przyszłości, mieszkańcami będą inżynierowie, lekarze, technicy, kierownicy kursów, świetlic, spółdzielni. Pominąwszy już to, że wieś zmieni całkowicie swój charakter, swoje oblicze zewnątrz — to cóż znów ci nieszczęśni inżynierowie, lekarze, technicy a więc ludzie z wyższym wykształceniem, ludzie których życie i zainteresowania związane są z dobrym funkcjonowaniem maszyny lub ze złym funkcjonowaniem organizmu ludzkiego będą mieli wspólnego z prawdziwym, istotnym życiem wsi czyli pracą wiejską? Czy będzie kształtowała psychikę tego inżyniera, lekarza, technika — praca na roli? Orka, siew, żniwa? Czy troska o pogodę a niepokój słoty spędzą mu sen z powiek?

Inżynier będzie inżynierem — dla inżyniera pępkiem świata będzie maszyna, dla lekarza też jego zawód. Dla nich troska o to by zboże nie wymarzło lub je grad nie wybił, nie będzie nigdy głębokim, poważnym, jak dla właściciela tej ziemi, siewcy tego zboża — chłopa. Reasumując więc, chłop to ten, który orze, sieje, zbiera i dla którego nieurodzaj jest katastrofą życiową. W związku zaś z tą pracą i życiem na łonie natury i w związku z zależnością od niej pewien właściwy mu odrębny typ psychiki i postawy wobec życia, określa jego chłopskość.

LESZCZYŃSKI WŁADYSŁAW
Żywiec, Stacja Kolejowa

STANISŁAW EHRLICH

KOK—SAGIZ

Fantastyczna historia pewnej rośliny

AUTOR USPRAWIEDLIWIA WYBÓR TEMATU

Kiedy państwo radzieckie stanęło mocno na nogach, nowy przemysł pchnięty na tory planowej gospodarki począł rozwijać się pełną parą. Jednym z następstw tego skoku produkcyjnego był zwiększony popyt na kauczuk. Kauczuku domagał się przemysł chemiczny, elektryczny, automobilowy i lotniczy. Im bardziej nowoczesną była fabryka, tym więcej domagała się kauczuku. Dzięki swoim szczególnym właściwościom guma była absolutnie niezastąpiona.

W Rosji nie rosły ani drzewa kauczukowe, ani nie było fabryk syntetycznego kauczuku. Kauczuk trzeba było sprowadzać z zagranicy i jego cena rosła stale.

Rząd radziecki rozpisał konkurs wszechzwiązkowy na najlepszą metodę produkcji kauczuku syntetycznego.

Zwycięzcą konkursu został profesor Lebiediew, którego metoda uzyskiwania kauczuku ze spirytusu okazała się niezwykle skuteczną.

Ale na tym nie poprzestano, poszukiwania bardziej zadawalającego rozwiązania zagadnienia trwały nadal. Kartofle — surowiec, jakiego użył Lebiediew, były zbyt kosztowne. Kiedy badania nad użyciem wapna jako surowca dały pomyślne wyniki — Związek Radziecki stał się jednym z największych producentów kauczuku syntetycznego.

Zagadnienie kauczuku jednak nie było jeszcze i wtedy rozwiązane. Bo kauczuk syntetyczny jest kilkakrotnie droższy, niż naturalny. Wreszcie znalazło się wyjście. Zupełnie nieoczekiwanie odkryto zwykłe zielsko, które mogło zastąpić egzotyczne drzewo kauczukowe.

Kiedy pokazałem korzeń kok-sagizu memu przyjacielowi, ten wziął go do ręki z niedowierzaniem, powąchał, skrzywił się nieznacznie i powiedział:

— I cóż w tym dziwnego? Czuć zlekka starym kaloszem. Nie rozumiem, czym się tu przejmować.

Wielu ludzi zajmuje taką postawę wobec niezwykłych zjawisk. Takim zjawiskiem jest właśnie kok - sagiz — roślina łudząco podobna do polskiego dmuchowca (mniszka) i blisko z nim skuzynowana.

W ostatnim dziesięcioleciu losy tego zielska splotły się mocno z losami milionów radzieckich obywateli. Odegrało ono swoją rolę niemałą w tej straszliwej wojnie.

Jakże więc przejść obojętnie mimo opowieści, którą pisało nam życie?

W latach trzydziestych, kiedy zagadnienie ekonomicznej niezależności stanęło na porządku dziennym, zapewnienie Związkowi Radzieckiemu własnego kauczuku naturalnego stało się sprawą życiowej wagi*).

Wtedy to około 14 lat temu, w stepach Kazachstanu i w połoninach Kirgizji i wszędzie, gdzie była tylko nadzieja znalezienia roślin kauczukowych, pojawili się owi zajadli „łowcy „kauczuku", którzy przeszperali każdy „podejrzany" spłacheć ziemi. Zbadano w tych latach przeszło tysiąc rodzajów roślin.

Kauczuk stał się szlachetną manią wielu. Na poszukiwania wybierali się przeważnie amatorzy. W nauce panował niemal wszechwładnie dogmat, że rośliny z wysoką zawartością kauczuku, jak naprzykład hovea (drzewa płaczące), rosną wyłącznie w okolicach podzwrotnikowych. Sądzono, że w warunkach naturalnych Związku Radzieckiego wszelkie próby znalezienia takiej rośliny, czy aklimatyzacji jej, skazane są z góry na niepowodzenie.

A jednak słuszność była po stronie dyletantów i fantastów. Jeszcze w 1929 r. pomocnik naczelnika stacji w Kara Czikat w Kazachstanie i azerbejdżański felczer Karys, znaleźli chondrillę. W tym samym roku pracownik trustu gumowego, Zarecki, znalazł w górach Kara-Tau roślinę tau-sagiz (górskie ziele do żucia).

Wyłom był zrobiony. Chodziło teraz już tylko o odnalezienie rośliny, która by miała dość wysoki odsetek kauczuku, odpowiadający warunkom produkcji przemysłowej.

ŁOWCY KAUCZUKU

W lipcu 1931 r. sześciu młodych ludzi zajęło przedział w pociągu bezpośrednim Moskwa — Frunze. Ich wysportowane sylwetki i pakowne plecaki mogły nasunąć przypuszczenie, że ma się do czynienia z turystami. Z dokumentów jednak, w jakie byli zaopatrzeni, wynikało co innego. Była to ekspedycja naukowa do centralnego Tiań - Szaniu. Byli to poszukiwacze kauczuku.

Buchaniewicz, szef ekspedycji, miał dwa dzieścia dwa lata, z zawodu był robotnikiem fabryki aniliny w Moskwie.

Wysiadłszy z pociągu we Frunze Buchaniewicz powiódł swoich towarzyszy ponad malowniczym, obramowanym gęstwą nieprzebytych lasów jeziorem Issyk-Kul w bezdroża Tiań - Szaniu.

Poszukiwacze kauczuku nie żałowali energii. Wspinali się po stromych stokach, by znów się opuścić na dno głębokich jarów. W czasie wędrówki nie przepuszczali żadnej trawki. Zielnik ekspedycji puchł do niebywałych rozmiarów. Ozdobą i dumą jego było kilka roślin kauczukowych. Ale prawdę mówiąc wyniki ekspedycji były mizerne. Zawartość kauczuku w znalezionych roślinach była niewielka. Urlop dobiegał końca i honor ekspedycji uratował bystry wzrok Buchaniewicza i... szczęśliwy przypadek. Buchaniewicz zauważył, że wszystkie rośliny, które zwykli żuć miejscowi mieszkańcy, zawierają kauczuk. Taka domorosła guma do żucia. W wioskach, gdzie się zatrzymywali na nocleg, dzieci zapamiętale żuły jakieś ziele. To wydało się podejrzane. Próba „na kauczuk" dała dobry rezultat. Nieznane ziele zawierało większy odsetek kauczuku, niż wszystkie inne dotąd znalezione.

— Jak się nazywa ta roślina? — spytał pośpiesznie Buchaniewicz.

— Ona nie ma nazwy — brzmiała obojętna odpowiedź. — To zwykłe ziele do żucia. Kok - sagiz.

UCZENI, ORGANIZATORZY I ROŚLINA

Przed uczonymi, przed pracownikami trustu kauczukowego postawiono zadanie: zorganizować masowe plantacje kok-sagizu w 1933 r. A przecież nie chodziło tu o aklimatyzację rośliny już znanej. Kok-sagiz, krym-sagiz i tau-sagiz, to były rośliny absolutnie nowe, nieznane nawet botanikom. Krótko mówiąc, zadanie polegało na przekształceniu rośliny dziko rosnącej w plantacyjną kulturę techniczną, dającą się zużytkować jako surowiec dla masowej produkcji przemysłowej.

W wyniku badań uczonych i obserwacji praktyków palmę pierwszeństwa uzyskał kok - sagiz. Dzięki jakim zaletom kok-sagiz wyeliminował aż tylu konkurentów?

W pierwszych latach zagadnieniem centralnym była sprawa nasion. Mała ilość nasion, jakie dawały rośliny kauczukowe, z którymi eksperymentowano, była przeszkodą do wydatnego rozszerzenia obszaru zasiewów. Był to okres, kiedy agronomowie wzywali do zachowania każdego nasionka. Raptem nastąpiła zmiana. Nowoodkryty kok-sagiz, obdarzony przez przyrodę fantastyczną płodnością (w kilogramie nie mniej niż 3 do 3 i pół miliona nasion) pozwala na nieograniczone rozszerzenie obszarów zasiewu.

Lecz na tym nie koniec. O ile taki tau-sagiz ma wygórowane wymagania co do gleby i najlepiej rozwija się na czarnoziemie, kok-sagiz rośnie na najróżnorodniejszych glebach. Egzotyczna gwajola znowu jest zbyt wrażliwa na mrozy. I dlatego właśnie nie może równać się z kok-sagizem, odpornym zarówno na chłody jak i upały. Mało tego. Zdumiewające ziele nie poddaje się szkodnikom i w walce z nimi wykazuje niezwykłą odporność. Wszystko to sprawiło, że z wielu dziesiątków tysięcy hektarów, zajętych pod uprawę roślin kauczukowych, znakomita większość przypada na kok - sagiz.

KALOSZE

— Kok-sagiz, to kultura, która pochłania wiele pracy — powiada agronom Woroncow, rejonowy specjalista od kok-sagizu. — Roślina ta wymaga przede wszystkim troskliwej opieki w pierwszej fazie rozwoju. Posadzisz nasionko zbyt głęboko — nie wzejdzie. Chwasty bardzo łatwo je zagłuszają, dlatego pod siew należy wybrać działkę wolną od chwastów. Częste pielenie, nieustanna walka z chwastami jest warunkiem dobrych zbiorów. Kok - sagiz bowiem lubi czystość. Wysoki urodzaj zależy również od ścisłego dotrzymania terminów siewu i zbioru. Kok-sagiz lubi punktualność. Spóźnisz się niewiele dni ze zbiorem nasion — wiatr je uniesie i cała praca przepadła.

Lecz Woroncow nie mówi, jak trudno było popularyzować uprawę kok-sagizu wśród nieufnych kołchoźników, który z niedowierzaniem słuchali o nowej, nieznanej kulturze. W pierwszym zaraz roku trzeba było stoczyć zażartą walkę z chwastami, które groziły całkowitym zagłuszeniem wątłego przybysza z Tiań-Szaniu.

„A taka rodzina Artiomowych wyrobiła w ubiegłym roku 1300 pracodni a tytułem premii za wzorową pracę przy kok-sagizie otrzymała 20 par kaloszy. Iwan Artiomow jest dziś na froncie. W domu zostały kobiety, lecz robota idzie dalej tym samym trybem, jakim go uczył i z tym zapałem, jakim natchnął, gdy pracował razem ze swoimi. Dba o to jego żona Natalia Artiomowa".

Kok-sagiz nie tylko dał większe dochody kołchozom i kołchoźnikom, ale stał się nowym bodźcem dla dalszego podniesienia poziomu kulturalnego wsi. Ludzie pracujący przy uprawie kok-sagizu, zyskali nową rolniczą kwalifikację.

Woroncow kilka lat temu był brygadierem kołchozowym. Cztery klasy szkoły średniej — to było jego wykształcenie. Czterdziestokilkoletni mężczyzna, natknąwszy się w swej praktyce na nową roślinę, zaczął ją uparcie studiować. Te studia wciągały go w krąg co raz to szerszych zagadnień. Dzisiaj Woroncow, to człowiek, którego wiedza fachowa i talenty organizacyjne wydźwignęły na stanowisko agronoma.

Tak wygląda historia kok-sagizu, romantycznej rośliny, która z piepotrzebnego zielska, nieznanego, zapomnianego kopciuszka królestwa flory, przeobraziła się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej w jeden z najcenniejszych surowców.

Problem gumy, gdzieindziej źródło niejednego kryzysu, zarzewie niezliczonych konfliktów dyplomatycznych i zbrojnych, w Zw. Radzieckim został rozwiązany w drodze pokojowej.

* * *

I my nie mamy naturalnego kauczuku, a kok-sagiz uprawiany jest na przestrzeni tysięcy hektarów na Białorusi, gdzie klimat jest przecie surowszy. Warto by Ministerstwo Rolnictwa, Związek Samopomocy Chłopskiej w porozumieniu z Ministerstwem Przemysłu zainteresowało się tą sprawą.

W „Brytanskim Sojuszniku" z 14. II. 1943 r. (Nr 7) czytałem notatkę:

„Związek Radziecki przysłał nam pewną ilość nasion kok-sagizu, który uprawia obecnie Londyński Ogród Botaniczny. Kok-sagiz będzie zasiany w różnych częściach Wielkiej Brytanii. Kok-sagiz w przeciwieństwie do drzewa kauczukowego udaje się w szerokości geograficznej Moskwy i wobec tego może być wykorzystany wszędzie w Wielkiej Brytanii.

Związek Radziecki po 12 latach uprawy kok-sagizu posłał nasiona do wielu krajów sojuszniczych: do Indii, Australii, Nowej Zelandii, Kanady i Stanów Zjednoczonych".

Łódź, listopad 1945 r. **St. E.**

*) Ujawnił to w pełni przebieg wypadków wojennych. Sojusznicy anglo-amerykańscy utracili plantacje półwyspu i archipelagu malajskiego, w ich bezpośrednim władaniu ostały się tylko cejlońskie. Ale maksymalna produkcja kauczuku Cejlonu wynosi 100.000 ton rocznie. Jest to nawet z produkcją południowo - amerykańską i afrykańską zbyt mało, by mogło pokryć potrzeby sojuszników nawet bez Zw. Radzieckiego.

LIST DO REDAKCJI

Kochany Panie Redaktorze!

Przeglądając ostatni numer „Szpilek" (bo teraz na wsi zabitej od świata mało roboty i z nudów czasem się człowiek i do takiej lektury weźmie), przeczytałem kpiny z poetów piszących gwarą, w formie listu od p. Sandauera, który jakoby pochodzi ze Sambora, następującej treści:

„LIST OTWARTY DO OB. PAWŁA KUBISZA I INNYCH PISZĄCYCH GWARĄ

Szanowny ubywatelu Kubisz!

Proszy was pukorni u wybuczeni, że śmim do was pisać pu naszemu, pu samborsku, ali si baim, ży, jak pisal bendy pu polsku, tu mi nic a nic ni rozumici. Słyszał-ym tu u jidnegu dozorcy z drugi kamiiricy, ży wy, szanowny ubywatelu, zabiraci si usobny szkoły w waszy wsi założyć i żyby tam dziciska tylku waszy wirszy czytali i na nich si mowy łucki uczyli. Tu ja myśli sobi: dlaczego ni? Można. A s pomocu bosku, za lat jakich dziesińć abo i pitnaści tu w każdy jedny gmini bendu sy gadać pu swujemu, kto pu płyćwińsku, a kto pu renkurajsku i każde jedno miasto bendzi miału swujegu najwinkszego puety. Narazi, żybyście wy, szanowny ubywatelu Kubisz, ni czuli si całkim samotny i ży niby nikt was ni rozumi, postanowił-ym wszystko, co za życia mojego napisałym, przetłumaczyć na jenzyk samborski i przekłady moi z francuskiegu, z greckiegu i z rosyjskiegu tyż i krytyki i noweli tyż. Żygnajcie ubywatelu, ńi mam dużu czasu, muszy si zabirać du ty pilny ruboty

Cześć

ARTUR SANDAUER".

Przyznać muszę, że złośliwy list ob. Sandauera ze Sambora początkowo mnie ubawił. Ale zaraz potem mi się przykro zrobiło, bo zauważyłem, że odnosi się nie tylko do Kubisza, ale i do innych piszących gwarą poetów. Mniejsza o Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Władysława Orkana, Gustawa Morcinka, Juliusza Kędziorę, Władysława Kowalskiego i Mikołaja Reya, którzy przeważnie nie żyją, ale sam poczułem się dotknięty, bo jak P. Redaktorowi wiadomo, wypuszczam od czasu do czasu płody mojej Muzy w języku okolicznej gwary. Przeczytałem jeszcze list rzekomego obywatela miasta Sambora i wtedy mnie się oczy otworzyły. Zauważyłem bowiem, że ob. Sandauer sfałszował gwarę w perfidny sposób, mianowicie napisał regularnie po polsku, a potem powstawiał wszędzie „u" zamiast „o". Już to ob. Sandauer nie ma szczęścia do gwary, bo tłumaczył poemat z rosyjskiego, gdzie przytacza się ludowe wyrażenia, i jedno z nich brzmi w przekładzie ob. Sandauera: „Cholera mu! Cholera im! Po tyłku kopniakiem!". W tym właśnie sęk, że ob. Sandauer ma ambicje być za „poliglotę", i wszystkie języki świata pozjadał, a gwara mu nie wychodzi. Żeby zdemaskować złość ob. Sandauera postanowiłem napisć list w języku najbardziej mu bliskim, tj. po łacinie, gdyż ob. Sandauer jako „filolog" stale narzeka, że obecnie w „Kuźnicy" nie piszą tak jak to starożytni Rzymianie potrafili.

„Caro amico!

Quomodo Vas fratro taka pasja prendere, tylum poetam cum dialectum poesiam polskam facere? Habes non wstydare Fratri poeti rustici aus „Wieś" napadare? Aber nos scimus, bene scimus, quomodo malam sercum ku gwaram habere. Huius proverbium: Kto habet krzywe nogi, tańcum nie lubit? Hic powodus! Hic pascuda! Hic nieładnie!

Saluto! JOANNUS KROKWIA".

Proszę wybaczyć, Kochany Redaktorze, jeśli gdzieniegdzie uczyniłem w łacinie pomyłki, bo już się od czasu szkół wiele zapomniało, niemniej przekonany jestem, że i tak moja łacina przewyższa samborską gwarę zawistnego ob. Sandauera.

Z poważaniem

JAN KROKWIA

ze wsi Ciężkowice pod Tarnowem

NOWA CENA „WSI"

Zawiadamiamy, że ostatnia podwyżka cen prawie wszystkich czasopism, objęła również „Wieś". Numer „Wsi" kosztuje obecnie 7 zł Podrożenie naszego pisma ma związek z chwilowymi trudnościami technicznymi i w miarę polepszenia warunków cena zostanie znów obniżona do 5 zł za numer.

Warunki prenumeraty ogłoszone będą w następnym numerze.

REDAKCJA

REDAKTOR NACZELNY: Jan Aleksander Król. — KOMITET REDAKCYJNY: Kałużyński Zygmunt, Kubicki Marian, Morton Józef, Ozga-Michalski Józef, Olcha Antoni, Piętak Stanisław. KOMITET TERENOWY: Frasik Andrzej, Nędza-Kubiniec Stanisław, Kubisz Paweł.

REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 96. Wydawca: Wydział Wydawniczy Z. S. Chł. w Spółdz. wydawniczej „Czytelnik".

D—02779 Drukarnia Nr 4, Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Łódź, Żwirki 2.